MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 6 (Nr. 5 skonfiskowany) WARSZAWA, 17 LUTEGO 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

KONFISKATA Nr. 5.

W d. 13 bm. na zarządzenie Komisarza Rządu dokonano zajęcia całego nakładu Nr. 5 „Myśli Narodowej". Nie mogliśmy przystąpić natychmiast do wydania nowego zeszytu, ponieważ odmówiono redakcji ustnej informacji, za co nastąpiła konfiskata. Dopiero 14-go wieczorem otrzymaliśmy zawiadomienie poniższe:

Komisarz Rządu na m. st. Warszawę na zasadzie art. 73 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. O prawie prasowem (Dz. Ust. Nr. 45 1927 r. poz. 398) zarządził zajęcie Nr. 5 z datą 15 lutego 1928 r. czasopisma pn. „Myśl Narodowa" z powodu artykułu pt. „O miłości i nienawiści". Za Komisarza Rządu na m. st. Warszawę K. Głuchowski.

Artykuł „O miłości i nienawiści" red. Zygmunta Wasilewskiego poświęcony był historycznemu wyjaśnieniu genezy rzuconego w r. 1907 przez Niemcy hasła zwalczania „Endecji" i ostrzegał napastnicze partje przed stosowaniem go bezkrytycznem.

Zamiast tego artykułu dajemy obecnie uwagi prof. Romana Rybarskiego o naprawie konstytucji. Zeszyt wychodzi z opóźnieniem.

NAPRAWA KONSTYTUCJI

(Wyjątek z broszury „Cele i zadania Komitetu Kat.-Nar.").

NAPRAWA naszej Konstytucji to jedno z zadań, do których powołany jest przyszły nasz parlament. Niezadowolenie z dotychczasowego ustroju sięgnęło bardzo głęboko. Chcemy zmienić Konstytucję; ale w jakim kierunku?

Konstytucja powinna przedewszystkiem dać rękojmię praworządnego ustroju i porządku społecznego. Winna zabezpieczyć jego podstawy zarówno przed dowolnością władzy wykonawczej, jak i przed ustawodawczą swawolą. Należy w niej zamieścić wyraźną gwarancję, że żadna ustawa nie może działać wstecz, to znaczy, dać wyraz tej podstawowej zasadzie prawnej, którą uznaje każde państwo cywilizowane, która tkwi głęboko w poczuciu prawnem społeczeństwa. Następnie, należy zagwarantować, że państwo jest tak samo, jak każdy obywatel, odpowiedzialne za szkody, wyrządzone przez jego organy, że można pretensji w stosunku do państwa, dochodzić skutecznie przed niezależnymi sądami. Wreszcie, należy usunąć wszelkie „wątpliwości konstytucyjne", wywołujące konflikty między naczelnemi organami państwa: do tego potrzebny jest Trybunał Konstytucyjny, któryby te spory rozstrzygał, a zarazem orzekał o zgodności ustaw z Konstytucją.

W czem jednak wyraziło się największe niedomaganie naszego ustroju, które należy jak najrychlej usunąć w interesie państwa? Oto w braku równowagi między władzą ustawodawczą a wykonawczą. Rozwój naszego życia prawno-politycznego nie idzie ku górze, po drodze jasnej i prostej, lecz przez dziewięć lat umieliśmy przesunąć się z jednej ostateczności w drugą. Przez kilka lat panowało u nas „sejmowładztwo". Rządy były słabe, chwiejne, zmieniały się często. Zamiast zwalczać trudności, chciały je omijać. Pozyskiwały sobie doraźne poparcie poszczególnych stronnictw w Sejmie, a te stronnictwa nie chciały często brać odpowiedzialności za działalność rządu. Brak stałej większości, którаby stanowiła trwalsze oparcie dla rządu, w połączeniu zresztą z ogromnemi trudnościami gospodarczemi i finansowemi, jakie Polska musiała przezwyciężyć w pierwszych latach swojego nowego istnienia, obniżył powagę zarówno Rządu, jak i Sejmu. A potem, jak gdyby na oślep, wpadliśmy w drugą ostateczność: Sejm poniżony, odsunięty od wszelkiego znaczenia, władza wykonawcza wszechwładna, niczem nieskrępowana, nie mówi nawet narodowi, w jakim kierunku chce go prowadzić. Powszechne uczucie niepewności, brak kontroli nad działalnością państwowych organów, obniżanie poziomu życia politycznego, nieświadomość, jaki właściwie ustrój prawno-polityczny mamy w Polsce; czy można ten system uważać za trwały, za prawidłowy, zabezpieczający nasz byt państwowy od wstrząśnień i przewrotów społecznych?

Nikt chyba tych stosunków nie może uważać za normalne. Jeżeli dążymy do ich zmiany, to bynajmniej nie pragniemy powrócić do tego, co przedtem było, do wszechwładzy Sejmu, którego rząd byłby tylko cieniem. Pragniemy silnego rządu w Polsce. Ale siła rządu nie może płynąć z poniżenia władzy ustawodawczej. Rząd tylko wtedy będzie naprawdę silny, gdy parlament będzie zdolny do życia. Zadaniem rządu jest kierować polityką i administracją państwową. Zadaniem parlamentu jest wykonywać kontrolę nad rządem. Wszelka władza bez kontroli, bez wyraźnej odpowiedzialności za swoje czyny, musi zejść na manowce. Jerzeli się narzeka na „partyjnictwo", to trzeba zważyć, że najgorszą formą partyjnictwa są rządy grupy, której nikt nie kontroluje. Należy zabezpieczyć rząd przed nagłemi jego zmianami, przed przesileniami, które wywołuje przypadek, ale równocześnie jest rzeczą konieczną, by parlament był zdolny do życia.

Rozczarowanie ludności do parlamentu w znacznym stopniu pochodziło stąd, że uchwalał on ustawy niedojrzałe, że decyzje jego były zbyt pospieszne, a nie zawsze były dziełem dojrzałej rozwagi. Przyczyna tego jest jasna. Na papierze mamy w Polsce system dwuizbowy — w rzeczywistości prawa Senatu są tak małe, że niemal że nie wchodzą w rachubę. I jeżeli chcemy nasz parlament uzdrowić, musimy zrównać w prawach Sejm z Senatem i w ten sposób naprawić wielki błąd, który, dzięki głosom lewicy i stronnictw, pozostających pod jej wpływem, popełniono przy uchwalaniu Konstytucji w r. 1921.

Konstytucja polska z tego roku jest w znacznym stopniu naśladownictwem obcych wzorów, nie zawsze liczącem się z warunkami, wśród których żyjemy i z naszemi narodowemi potrzebami. Nie naśladuje ona niestety zagranicy w przeprowadzeniu systemu dwuizbowego, którego celowość od wieków jest już ustalona. Najradykalniejsze nawet demokracje Zachodu stoją twardo przy tym systemie. Nie zamierza zrywać z nim Francja, mimo, że żywioły skrajne mają w niej przewagę. Wprowadziła go u siebie Czechosłowacja, mimo, że na jej Konstytucję wielki wpływ wywarły różne stronnictwa socjalistyczne. Polska poszła inną drogą: Senat u nas nie ma prawie żadnego znaczenia.

Zadaniem parlamentu jest przedewszystkiem praca ustawodawcza i uchwalenie budżetu. Prace te, ogromnej dla państwa doniosłości, winny być dziełem dojrzałej rozwagi. Dlatego też wszelkie wnioski powinny przechodzić przez obie Izby, by mogły stać się ustawą. Jeżeli uznajemy wszyscy za rzecz słuszną, by od wyroku sądu pierwszej instancji można się było odwołać do instancji wyższej, bo w ten sposób unika się wielu krzywd dla ludzi, stających przed sądami, czyż możemy uważać za rzecz wskazaną, by wyroki o losach całego narodu i państwa, które często wydaje parlament, miały być dziełem jednej tylko Izby, w której rozstrzygać może przypadkowa większość i zmienne nastroje?

Broniąc zasady zrównania w prawach Senatu z Sejmem, bronimy powagi parlamentu w Polsce, bronimy dobra narodu i państwa.

Niepodobna jest dalej uzdrowić parlamentu, uczynić go zdolnym do życia, bez zmiany prawa wyborczego. System wyborczy winien mieć to na względzie, by przeszkodzić nadmiernemu rozproszkowaniu stronnictw politycznych, nie faworyzować słabszych grupek, reprezentujących partykularne interesy. Im większe jest rozbicie stronnictw parlamentarnych, tem trudniej jest rządzić państwem. Wszędzie niemal na Zachodzie, wśród ludzi, którzy chcą szczerze parlament uzdrowić, istnieje tendencja by ograniczyć zastosowanie zasady proporcjonalnych wyborów. W szeregu krajów wprowadzono w ostatnich czasach uprzywilejowanie stronnictw wielkich w ten sposób, że stronnictwu, które pozyskały przy wyborach najwięcej głosów przyznaje się dodatkowo większą ilość mandatów. W innych krajach zwolennicy parlamentaryzmu pragną ten parlament uzdrowić; u nas zawodowi obrońcy parlamentu, jak np. socjaliści, uważają dzisiejsze prawo wyborcze za nienaruszalne, jakkolwiek nie może ono dać większości, zdolnej naprawdę do tego, by ponosić odpowiedzialność za rządy w państwie. Wszelkie próby naprawy ordynacji wyborczej, podejmowane przez stronnictwa narodowe w ubiegłym Sejmie, spotkały się zarówno z oporem lewicy jak i Rządu. Ten opór utrudni przeprowadzenie niezbędnych reform w przyszłym Sejmie, jednakże nie można zaprzestać i w nim walki o zmianę prawa wyborczego.

W szczególności byłoby rzeczą bardzo wskazaną, by system wyborczy do Senatu oprzeć na innych zasadach, niż do Sejmu. Sejm powinien być przedstawicielstwem ludności, wybieranem według okręgów terytorjalnych, jak się to dotychczas dzieje; natomiast Senat należałoby oprzeć na zasadzie wyborów przez instytucje kościelne, naukowe i kulturalne, związki gospodarcze i zawodowe. W ten sposób łatwiej znaleźliby się w parlamencie specjaliści, znający się na różnych działach ustawodawstwa. Na tej drodze różne organizacje społeczne i gospodarcze, których głosu nie powinno się pomijać, ze względu na jego wagę, mogłyby wziąć czynniejszy udział w życiu politycznem państwa, zaznaczyć swoje stanowisko i swoje pojmowanie spraw publicznych.

Senat w ten sposób zbudowany, równouprawniony z Izbą poselską, reprezentowałby większą fachowość i byłby zarazem skutecznym hamulcem przeciw zbyt pośpiesznemu ustawodawstwu. Senat, łącznie z Sejmem, powinien i nadal wybierać Prezydenta Rzeczypospolitej. Słusznym jest postulat, by ustawowo wzmocnić jego władzę. Ale najfatalniejsze skutki przyniosłaby taka zmiana Konstytucji, któraby wprowadziła wybory Prezydenta przez bezpośrednie głosowanie całej ludności.

Zwolennicy tego systemu chcą naśladować Stany Zjednoczone Am. Półn., zapominając o tem, że jakkolwiek tam prezydent jest wybierany faktycznie przez ludność (pośredniość wyborów nie gra wielkiej roli) i jego władza jest bardzo rozległa, to jednak ma ona wielkie hamulce, przedewszystkiem z uwagi na bardzo rozległą autonomję poszczególnych Stanów, dalej ze względu na szerokie prawa Senatu. Z systemu tego nie są zadowoleni i sami Amerykanie. Dochodzi bowiem bardzo często do konfliktu między prezydentem a izbami Kongresu, co tamuje normalny bieg ustawodawstwa i administracji państwoej. Rzecz bardzo ciekawa, że w Polsce za systemem amerykańskim przemawiają zaprzysiężeni wrogowie „partyjnictwa", tymczasem ten system w Stanach Zjednoczonych doprowadził do bezwzględnej dyktatury machin partyjnych; w żadnym kraju ujemne strony rządów partyjnych nie występują tak wyraźnie jak w Stanach Zjednoczonych. Ich przykład nie może nas zachęcać do naśladownictwa, a równocześnie doświadczenie naszej naszej przeszłości powinno nas od tego systemu odstraszać. Przecież dawna Rzeczpospolita Polska miała system wyboru króla przez ogół ludności, której przysługiwały prawa obywatelskie. Wszyscy historycy potępiają elekcję „*viritim*", jako źródło słabości władzy królewskiej, ciągłych wstrząśnień i walk wewnętrznych, jako system, który sprzyjał rozwielmożnieniu się korupcji. Czyż dzisiaj mamy naśladować dawne błędy?

Myśl, by Prezydent był wybierany przez ogół mieszkańców państwa, została pochwycona z zapałem przez socjalistów. Rozumują on w ten sposób: ponieważ mniejszości narodowe w Polsce stanowią z górą 30 proc. ludności, będą miały znaczny wpływ na wybór Prezydenta i zawsze oddadzą swoje głosy na kandydata lewicy. Lewica wyraźnie się do tego planu przyznaje, widząc w nim gwarancję, że nigdy nie zostanie Prezydentem wybrany kandydat „prawicy", choćby miał za sobą większość polskiego społeczeńswa. Przy dzisiejszym systemie, gdy Prezydenta wybiera Sejm i Senat, bądź co bądź, mniejszości mają wpływ trochę mniejszy, bo nie wszędzie potrafią one wybrać swoich posłów. Obecnie lewica i niektóre pisama rządowe rozpoczęły agitację za projektem, który chce w ręce mniejszości oddać decyzję o tem kto będzie Prezydentem państwa.

ROMAN RYBARSKI

ROLA SIŁY W TAKTYCE POLITYCZNEJ

SŁOWO „demokracja“ stało się hasłem, które zapanowało niepodzielnie w drugiej połowie wieku dziewiętnastego. Wypływało ono logicznie z doktryn wówczas panujących, spełniło zresztą zadanie pod niejednym względem bardzo dodatnie. Przełamało kasty, które w Europie prawie wszędzie zamknęły się w sobie i skostniały, otworzył drogę nowym siłom. I nietylko nowym siłom. Zwłaszcza w Polsce demokracja stała się wyrazem rucho narodowego i to tem bardziej, im więcej zaczęły słabnąć w tym kierunku warstwy wówczas rządzące. Najgroźniejszy dla przyszłości Polski kierunek, trójlojalizm, wobec zaborców w nich się właśnie narodził. Było tedy obroną narodu, jeżeli zmierzał do wydobycia ze siebie warstw nowych. Wistocie ruch demokratyczny był prawie wszędzie, a specjalnie w Polsce ruchem narodowym.

W Polsce n.p. nazwa stronnictwa „demokratyczno-narodowego“ charakter ten specjalnie podkreśliła. Z demokracją zjawił się naród, przeciwstawiając się tendencjom kosmopolitycznym, które pojawiły się w ówczesnej arystokracji. Ta ostatnia przez odcięcie się od niższych warstw narodowych zatraciła powoli— aczkolwiek istniały zawsze wyjątki — swój charakter arystokracji narodowej, w tym wypadku jednoznaczny z pojęciem elity narodowej. Naród nie znajdował wskutek tego dostatecznej obrony swoich interesów. Charakter narodowy demokracji był też zwłaszcza w Polsce tak silny, że wyciskał swoje znamię nawet na tych ruchach masowych, które w gruncie rzeczy były obojętne, albo nawet wprost wrogie wszelkiemu nacjonalizmowi, jak np. na Polskiej Partji Socjalistycznej, która po walce wewnętrznej zmuszona była w programie swym szczerze, czy nieszczerze, zamieścić słowo „Polska“.

Ruch demokratyczny ma zatem ogromne zasługi z punktu widzenia narodowego. Był on zresztą ruchem, którego niemożna było uniknąć z chwilą, kiedy oświata i wykształcenie obejmowało coraz szersze rzesze i kiedy koła rządzące w coraz większej mierze musiały się na nich opierać, np. zaprowadzając powszechną służbę wojskową. Pozatem wywołana rozwojem przemysłu koncentracja rzesz ludzkich w wielkich miastach uczyniła z szerokich mas żywioł znacznie bardziej ruchomy, podatny do organizacji i łatwy do użycia w akcji politycznej.

Byłoby tedy błędem nie widzieć tego, co w ruchu demokratycznym dziewiętnastego wieku było koniecznością rozwojową, ani tego, co było jego stroną dodatnią. Przedewszystkiem zaś należy go uważać jako dążenie do usunięcia warstwy rządzącej tam, — i tylko tam — gdzie ona nie mogła już albo nie chciała sprostać zadaniu. Z tego punktu widzenia dzisiaj zwłaszcza musimy się na ten ruch zapatrywać, kiedy on cele swoje w istocie osiągnął, tworząc coprawda na razie warunki, które nie dają wogóle możliwości wytworzenia się dobrej i stałej warstwy rządzącej.

Ruch demokratyczny, oprócz tych swoich zalet i zasług, posiadał i posiada wady, które dzisiaj z chwilą, kiedy spełnił on swoje zadanie, to znaczy przeorał pole i wydobył na wierzch nowe niezużyte warstwy narodu, uwydatniają się jaskrawo.

Jednym z zasadniczych błędów ruchu demokratycznego było proklamowanie zasady nieograniczonej równości i wolności. Źródłem tego błędu była rozpowszechniona wiara w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej, mająca źródło w teorjach wieku osiemnastego, a następnie wynikający z niej liberalizm, która to doktryna połączyła się z ideą demokratyczną, wypaczając ją w kierunku dezorganizacyjnym.

W związku z tem odrzucono wogóle zasadę rządzenia z góry, uważając, że wszyscy mają prawo brać równy udział w rządzeniu. Zasadę tę wyrażono w formie pięcioprzymiotnikowego prawa głosowania, jako podstawie ustroju państwa.

W ten sposób punkt ciężkości spraw państwowych przesunął się na opinję najszerszych kół, z czego wynikł szereg praktycznych żądań. Przedewszystkiem musiano domagać się możności zupełnie niekrępowanego wyrażania tej opinji przez wszystkich i każdego z osobna. Inaczej nie możnaby się było dowiedzieć, czego naród w pojęciu demokratycznem pragnie. Cecha też ideału demokracji dziewiętnastego wieku jest przedewszystkiem nieograniczona niczem wolność wypowiadania i szerzenia swoich opinij.

Ta wolność idzie bardzo daleko. Demokracja taka, jak się ją dzisiaj pojmuje, stała się wylęgarnią wszystkich możliwych stronnictw politycznych oraz najrozmaitszych organów prasowych bez względu na ich charakter. Nie mogło się to oczywiście przyczynić do uspokojenia ni konsolidacji narodu. Tego rodzaju wolność musi zawsze pociągać za sobą rozszczepienie i coraz dalsze różniczkowanie. Każdy człowiek bowiem, który dochodzi do takich albo innych wniosków, jeżeli ma tylko chęć i ochotę, może starać się wpływać na opinję publiczną, może tworzyć stronnictwo, wydawać organ prasowy, zwalczać swoich przeciwników i zyskiwać zwolenników.

Ten jest i musi być skutek oparcia rządów na opinji i woli mas. Widzimy to zresztą w krajach, w których panuje nieograniczona niczem demokracja. Na błąd ten radzi ona sobie sama przez stworzenie systemu partyjnego.

Jednakże system partyjny nie zapobiega zgoła rozproszkowaniu, a organizacja partyjna ma już swoje ogromne wady. Walka o opinię nie toczy się zazwyczaj wybrednemi środkami. W opinji rzesz nie zawsze zwycieża ten, który ma słuszność, tylko ten, który ma większe wyczucie psychologji tych rzesz, a nieraz umie wygrywać ich najordynarniejsze instynkty. Organizacja partyjna posiada przedewszystkiem jedną wadę: prowadzi w mniejszym lub większym stopniu do rozbratu między tymi, którzy mają w ręku maszynę organizacyjną partji, a jej przywódcami ideowymi i intelektualnymi. W partji demokratycznej zawsze ostatecznie decydują organizatorowie. Nic to nie szkodzi, jeżeli organizatorowie są zarazem ludźmi wielkiej mądrości politycznej i wykształcenia. Nie zawsze jednakże tak się dzieje, a jeżeli w centrali bywają tu i owdzie organizatorowie wybitni, o szerszym horyzoncie, to prawie nigdy tak nie zdarza się na prowincji. Naogół stosunek machiny partyjnej do właściwych przywódców i twórców duchowych kierunku jest bardzo niedoskonały. Ujemne bywa tu zwłaszcza uzurpowanie sobie prawa osadzania kwalifikacyj tychże przywódców i wyznaczania im miejsca oraz wpływu w hierarchji partyjnej przez ludzi, niżej od nich stojących, a tem samem nie umiejących albo wprost nie chcących ocenić ich kwalifikacyj.

Machina partyjna pozatem odznacza się fatalnym konserwatyzmem myślenia. Wynika to z jej istoty. Trudno jest — jak ogólnie wiadomo — zdobyć zwo-

lenników dla jakiejś myśli i opinji. Ludzie myślą powoli i zwłaszcza nie lubią niczego nowego. Gdy się tedy z wielkim trudem zdobyło liczne zastępy zwolenników, gdy przejęli się oni wreszcie pewnemi zapatrywaniami, dokonanie jakiejś zmiany jest już prawie niemożliwe. Wiedzą o tem wszyscy ludzie myślący, którzy brali choćby skromny udział w życiu partyjnem. Nawet drobne stosunkowo zmiany myślenia, próby narzucenia innych poglądów, dostosowanych do zmiany warunków, spotykają się z tępym oporem, oburzeniem i protestem. Przedewszystkiem reaguje tu machina partyjna i agitorzy. Przyuczeni raz do postępowania w określonym kierunku, oparci o rzesze, pod takiemi a nie innemi hasłami zorganizowane, reagują oni zdecydowanie przeciwko próbom pójścia dalej i natychmiast kują zarzut niesolidarności względnie nieprawomyślności partyjnej, utrącając w ten sposób ludzi niewygodnych.

Dochodzimy do pozornego parodoksu: z jednej strony demokracja — tak, jak się ją dzisiaj pojmuje — rodzi rozproszkowanie myślowe i taktyczne, umożliwia każdemu bez względu na jego charakter i wykształcenie walkę o zdobywanie opinji publicznej, przyczynia się do powstania coraz nowych partyj, z drugiej zaś strony te właśnie partje stają się ostoją najtępszego konserwatyzmu myślowego, przestrzegają zazdrośnie nienaruszalności raz zdobytych i z trudem narzuconych szerokim kołom zapatrywań, hamując przez to wszelki rozwój i dostosowanie się do zmieniających się warunków. A możliwość tego dostosowania jest potrzebna. Jeżeli kto, to polityk potrzebuje, ażeby nie krępowano go doktrynami, które były dobre w pewnych warunkach, ale w innych nie tylko nie prowadzą do celu, lecz hamują i szkodzą.

Oczywiście nie należy mylić tego z powierzchownością i niestałością umysłu, który przerzuca się z jednego poglądu w drugi, poprostu dla słabości przekonań i braku podstawowej wiedzy i zasad. Ale faktem jest, że właśnie w polityce warunki tak się zmieniają, że nigdy nie można przesądzać, czy polityka względnie taktyka polityczna, którą stosuje się dzisiaj, będzie także odpowiednia na dzień jutrzejszy. Nieraz wypadałoby zmienić ją z dnia na dzień. Tymczasem partje, prowadzące politykę, muszą dla każdej ważniejszej decyzji zdobywać najpierw opinję swoich zwolenników, co tę zmianę ogromnie opóźnia, a nieraz nawet uniemożliwia. Wszystko zaś dlatego, że w demokracji dzisiejszej opinja szerokich rzesz jest nietylko podstawą, ale i środkiem rządzenia, jest poprostu alfą i omegą polityki.

I wtedy każda zmiana, każde wycofanie się z raz zajętego stanowiska jest niesłychanie trudne, a czasem niemożliwe. Partje brną w raz wytkniętym kierunku bez względu na to, że stał się on nieraz anachronizmem, że jest szkodliwym, i że nawet niektórzy ich przywódcy zdają sobie z tego sprawę. Są jednakże bezsilni wobec nacisku machiny organizacyjnej i tych wszystkich, których mózg raz w pewne formy z trudem wdrożony, do śmierci zdolny już jest tylko wykonywać czynność szufladkowania zjawisk według raz ustalonych napisów. Jest to zjawiskiem naturalnem w życiu partyjno-demokratycznem, że przywódcy niektórych stronnictw w prywatnych rozmowach odkrywają nieraz zadziwiającą zgodność poglądów, że powiadają o sobie wzajemnie „cóż to za rozsądny człowiek“, a w praktyce pozostaje to bez najmniejszego wpływu.

Partja demokratyczna jest dlatego zawsze hamulcem szybkiego i śmiałego działania politycznego. Stąd w ustroju demokratyczno-partyjnym nigdy niczego załatwić nie można odrazu, stąd ciągłe kompromisy, i ciągła połowiczność, stąd nakoniec ogromna suma energji, którą zużyć muszą myślący i rzutcy przywódcy na przekonanie licznych tępych ludzi do swojej polityki, o których przekonanie wogóle wcale chodzić nie powinno. Niema bowiem mowy o starciu dwu sił żywych, co może przynosi korzyść, a chodzi tylko o usunięcie z drogi opornej i nieruchomej bryły.

Opinja jako zasada główna i środek rządzenia jest pozatem mieczem bardzo obosiecznym. Bezwzględna bowiem wolność opinji otwiera drogę dla wszelkich prądów rozkładowych. Komunizm nigdzie tak wygodnie i dobrze nie przygotowuje sobie terenu, jak w ustroju skrajnie demokratycznym. A stronnictwa do szpiku kości demokratyczne nigdy nie mogą zdecydować się na ograniczenie wolności, nawet dla szerzenia haseł wyraźnie burzących. Widzimy tedy opór przeciwko wprowadzaniu ograniczeń ustawowych i kar wobec komunistów, widzimy obronę najgroźniejszych przeciwników w imię tych haseł, chociażby one w wyniku przyniosły zgubę niefortunnym obrońcom.

Należałoby wogóle postawić zagadnienie, czem jest i na jakiej zasadzie powstaje opinja rzesz. Czy rzeczywiście istnieją jakie takie gwarancje celowego jej działania i racjonalnego powstawania? Na ten temat pisano już dużo. Jedno jest pewne, że w powstawaniu opinji szerokich rzesz bardzo małą stosunkowo rolę gra pierwiastek chłodnej rozwagi i rozumu, oraz wyraźnej i celowej woli i że wprost przeciwnie, odnośnie do poszczególnych zagadnień, rozstrzyga ich sposób przedstawienia, barwność agitacji, sformułowanie hasła, a więc to, coby można określić słowem „plakatowość“ przedstawienia. Momenty irracjonalne, zupełnie nieobliczalne, odgrywają pierwszorzędną rolę. Nie należy bowiem zapominać, że łącznikiem wspólnym tłumu jest nie rozum, ale uczucie. Na tych też podstawach, a specjalnie na drodze zabarwionego uczuciowo wrażenia (plakat) powstaje opinja rzeszy, niejednokrotnie błędna, zwykle krótkozwroczna, a w uzasadnieniu powierzchowna. Wywodzi się ona z innych źródeł, niż opinja jednostek, które nieraz, wzięte z osobna, posiadają własne zdanie, zmieniające się jednakże z chwilą, gdy się znajdą w tłumie.

Jeżeli pierwszem żądaniem ustroju skrajnie i konsekwentnie demokratycznego jest nieograniczona niczem wolność wypowiadania każdej opinji oraz odrzucenie wszelkiego jej krępowania, to dalszem jest oczywiście wymaganie, ażeby dążności, za któremi się opowiedziała opinja, bez żadnej przeszkody można było wprowadzać w życie. Założeniem konsekwentnej demokracji jest podporządkowanie się mniejszości opinji większości, chociażby ta mniejszość w ciągu walki o opinję doszła do bardzo wyraźnego przeświadczenia o słuszności swego zdania, i chociażby opinja większości, często bardzo nieznacznej, wobec trudności jej powstania była tylko kompromisem między kilku odłamami, które ostatecznie ustalają pomiędzy sobą pewne wspólne i niedoskonałe ogólniki.

Pozostaje do zbadania pytanie, czy wogóle jest możliwe rządzenie w myśl powyższej zasady? Nadając opinji rolę czynnika decydującego, stwarzamy pewne praktyczne warunki bytowania, których oczywiście przedewszystkiem powinny przestrzegać te partje, które ją jako zasadę ustaliły.

Dzisiaj partją taką w Polsce są zwłaszcza socjaliści. Oni to sformułowali w teorji i praktyce zupełne rozwinięcie idei demokratycznej, (pisze o tem Niedziałkowski: „Teorja i praktyka socjalizmu“), którą w niniejszych wywodach bierzemy jako punkt wyjścia dla naszych rozważań. Demokracja jest ich hasłem sztandarowem. Mniejsza o to, że zastrzegają się oni,

iż nie uważają jej jako cel ostateczny rozwoju, ale jest to cel, jaki posiadają na dzisiaj i na najbliższą przyszłość, oraz główne pozytywne żądanie ustrojowe, o które toczą walkę.

Tymczasem nie kto inny, a właśnie socjaliści w praktyce uznali, że opinja sama i jej zdobywanie nie wystarcza. W gruncie rzeczy oni pierwsi zadali cios pojęciom wolnościowej demokracji, i to jeszcze przed wojną, stwarzając organizację bojową, organizację siły i gwałtu dla poparcia swoich wysiłków zdobycia opinji i dla przeciwstawienia się takimże wysiłkom cudzym. Ta organizacja nie była i nie jest wyłącznie wywołana przez to, że za czasów przedwojennych, a zwłaszcza w Rosji, istniał system niedemokratyczny. Stworzenie organizacji bojowej wypłynęło z instyktownego zrozumienia, iż w walce o władzę człowiek często ucieka się do wszelkich środków, jakiemi rozporządza. Jednym z nich jest właśnie siła. Polska Partja Socjalistyczna, organizując bojówki, a za tym przykładem poszły niektóre inne partje „demokratyczne“ i utrzymując tę organizację również po wojnie, dowiodła w praktyce, iż idea wolnościowo-demokratyczna w zetknięciu z rzeczywistością bankrutuje. Praca przywódców P. P. S. w kierunku stworzenia zorganizowanej siły posunęła się przecież bardzo daleko. Nie zapominajmy, że już przed wojną przygotowywanie akcji wojskowej i kadrów, do których wyraźnie brano na wszystkie stanowiska kierownicze, a o ile możności i inne, tylko członków P. P. S., miało na celu w razie niepodległości Polski narzucenie jej siłą ustroju socjalistycznego. Stwierdza to wyraźnie świadek niepodejrzany o stronniczość, mianowicie b. sekretarz N. K. N. w Krakowie, Konstanty Srokowski, pisząc w swojej książce „N. K. N.“, że wyższe stanowiska legjonowe bywały obsadzane wyłącznie przez ludzi, zobowiązujących się uznać tylko ten rząd, który zostanie uznany przez P. P. S.

Znaczenia tego założenia u podstawy akcji legjonowej nie zrozumiano dotychczas dostatecznie, aczkolwiek istniało ono zupełnie wyraźnie. Chodziło właśnie o stworzenie socjalistycznej armji jako czynnika, któryby zdecydował o ustroju bez względu na opinję narodu. W istocie też widzieliśmy taktykę w tym kierunku, która w dużej części uwieńczona została powodzeniem, bezpośrednio po powstaniu państwa. Kto zdawał sobie sprawę z istnienia tego pierwiastka siły i nadanego jej zgóry kierunku w genezie legjonów, tego właściwie nie mógł zdziwić fakt zamachu majowego. Wynikł on bowiem z dążenia, które zdawna weszło w krew odłamu bojowego Polskiej Partji Socjalistycznej, a które dochowało się w legjonach w czystej, względnie w miarę ubiegających lat, w przetworzonej formie.

Postępowanie Polskiej Partji Socjalistycznej zdecydowało tedy właściwie już przed wojną o przyszłem naruszeniu zasad demokratycznych w Polsce. Nie uświadomiły sobie tego te stronnictwa umiarkowane, które przejmując z demokracji jej pierwiastek narodowy, dość bezkrytycznie oparły również taktykę swojego postępowania na zasadach skrajnie demokratycznych, to znaczy uciekły się wyłącznie do opinji jako środka zdobycia władzy, zaniedbując zupełnie siłę, a nawet nie licząc się z możliwością wystąpienia jej po przeciwnej stronie. Opinja niewątpliwie jest i pozostanie zawsze czynnikiem bardzo potężnym, którego zaniedbywać pod żadnym warukiem nie można, i do którego opanowania należy dążyć. Pozatem w pewnych zasadniczych kwestjach może ona być i będzie wyrazem instynktów głębokich, zdrowych i trwałych. Jednakże opinja rzesz jako miarodajny i wyłączny czynnik rządów, jest środkiem niepewnym, obosiecznym i zarazem z jednej strony niekonsekwentnym, a z drugiej hamującym rzutkość i sprężystość polityki. W przeciwieństwie do socjalistów, szczerze przy demokracji opowiedziały się w Polsce te właśnie odłamy, które przejęły z niej głównie ideę narodową, stanowiącą największą zasługą ruchu demokratycznego dziewiętnastego wieku. Całą taktykę, wszystkie sposoby dążenia do władzy, ugrupowania narodowe w Polsce oparły o zasady demokracji. Główną bronią ich stała się opinja. W istocie w tym kierunku stronnictwa te zrobiły bardzo dużo, a wyrazem opanowania przez nie opinji jest stosunkowo potężny i sprawny aparat prasowy, znajdujący się w ich ręku, znacznie większy i wszechstronniejszy, niż innych stronnictw. Stał on się — co jest zupełnie logiczne dla stronnictwa o ustroju i taktyce demokratycznej — głównym środkiem walki przez nie toczonej, co miało swoje zalety, ale ma również swoje wady.

W teorji wśród stronnictw narodowych zaczęły się budzić pewne refleksje i sceptycyzm, czy taktyka stosowana jest dobra, w praktyce jednak trwano przy starych sposobach, nie zdając sobie sprawy z ogromnej przemiany, która nastąpiła w Europie.

Bankructwo demokratycznych środków działania wykazała ostatecznie wojna. Wniosła ona w psychologję narodów pierwiastki zdecydowanie przeciwne ideałom demokracji, mianowicie umiejętność i przyzwyczajenie do używania siły. Przez szereg lat prawie każdy zdrowy mężczyzna w Europie miał w ręku karabin i bagnet jako argument przekonywający. Lata te w psychice całego pokolenia nie przeszły i nie mogły przejść bez śladu. Wyrobiło się przyzwyczajenie do gwałtu, przestano uważać opinję jako ostateczny argument, przekonano się, że opinja nic nie znaczy wobec kilku dywizyj dobrze uzbrojonego wojska.

Pozatem kilkoletni pobyt w wojsku musiał doprowadzić do przejęcia się duchem organizacji wojskowej, zupełnie przeciwnej organizacji demokratycznej. Dążności czystej i pełnej demokracji są w istocie swej zawsze antywojskowe, zmierzające do rozbrojenia i do zastąpienia wojska rodzajem milicji. Wypływają one zupełnie logicznie z głębokiego przeciwieństwa do typu i ducha organizacji wojskowej. W tej ostatniej niema bowiem mowy o wolności opinji, o wolności głoszenia i czynienia tego, co się komu podoba. W wojsku rządzi nie opinja, ale rozkaz. Wojsko jest również zaprzeczeniem ideału równości, będąc zbudowane ściśle na zasadzie hierarchicznej. Decyduje wola przełożonego, i to bez apelacji i bez prawa jej rozważania.

W taki sposób systemowi demokracji przeciwstawiony został przez lat kilka system antydemokratyczny, oparty na pierwiastkach zupełnie z nią sprzecznych, mianowicie na pierwiastkach siły. Skutki uwydatniły się bardzo wyraźnie po wojnie. W niektórych narodach, w których organizacja wojskowa była zawsze bardzo silna i tem samem urobiła typ psychiczny, demokracja mimo zaprowadzenia jej form, nie zdołała wytrzebić pierwiastków hierarchji i autorytetu. Utrzymały się w nich, mimo pozorów innych, formy życia politycznego w istocie antydemokratyczne, i nie doszło w ten sposób do rozluźnienia ustroju społecznego. Tak stało się w Niemczech.

Tam jednakże, gdzie zasady demokratyczne weszły w życie bez żadnych ograniczeń, i gdzie tym sposobem nastąpiło daleko idące rozproszkowanie, gdzie rządy stały się w istocie rządami opinji, chwiejne, zależne od każdego jej zawahania się, tam właśnie tę

grupy, które albo wyszły z wojny albo w inny sposób urobione zostały w zasadach i taktyce antydemokratycznej, doszły do władzy wbrew demokracji, przeciwstawiając taktyce demokratycznej opinji antydemokratyczną taktykę siły. Tak stało się w Rosji, Włoszech, w Hiszpanji (aczkolwiek Hiszpanja nie brała udziału w wojnie, przewrót wyszedł jednak z wojska i przez wojsko), tak stało się ostatecznie również w Polsce.

Rozwój ten był właściwie do przewidzenia. Dojść do władzy, w której pojęciu tkwi zawsze pierwiastek siły, albo nawet utrzymać się przy niej nie można, opierając się wyłącznie na opinji i zasadach demokratycznych. Próba ograniczenia środków walki o władzę do zmagania się o opanowanie opinji może zawieść. W kazdym razie nie można na tę kartę stawiać wyniku całej gry.

JERZY DROBNIK

PAMIĘTNIK PRAWDZIWEGO KONSERWATYSTY

WYDANE niedawno „Pamiętniki Pawła Popiela" winny znaleźć licznych czytelników. Autor ich nie odgrywał wprawdzie nigdy roli kierowniczej, lecz brał czynny udział we wszystkich wypadkach i działaniach swego wieku, a był to tak ciekawy i ważny w dziejach Polski wiek XIX. Urodzony w roku powstania Księstwa Warszawskiego zmarł w ostatniem dziesięcioleciu wieku ubiegłego. Sam o sobie powiada, że „przebył rok 31 i jego następstwa,... przebolał straszny rok 46,... patrzał na rozwiane nadzieje, które rok 48 obudził, dożył 63". W roku 1831, choć młody człowiek, obracał się już w towarzystwie najwybitniejszych ludzi swego czasu, potem zaś, już jako mąż dojrzały, brał czynny udział we wszystkich wypadkach politycznych. Znał Staszica i Niemcewicza, politykował z Wielopolskim i Andrzejem Zamoyskim. Wypowiada w swych „Pamiętnikach" opinję o wybitnych ludziach swego czasu, przytacza niejeden fakt, dotychczas nieznany, lub inaczej przedstawiany. Zajmą się tem historycy wieku XIX-go, nas w tej chwili obchodzi oblicze polityczne człowieka, który był w sprzeczności z współczesnymi i który pozostawił po sobie opinję wstecznika, nie rozumiejącego swego czasu i nowych prądów. Wypowiada się Popiel jasno, nie ma więc trudności w skonfrontowaniu jego oblicza duchowego z poglądami wieku XX-go w Polsce.

Był niewątpliwie w tragicznym do swego pokolenia stosunku. Miał skład umysłu wybitnie zachowawczy, wychował się na takich pisarzach jak de Maistre i Bonald, nienawidził Russa, a tymczasem los zrządził, że żył w wieku panowania i rozwoju idej filozofa genewskiego. Popiel gruntował się z wiekiem w swych ideach i poglądach, a tymczasem życie w innym zgoła szło kierunku, w całej Europie i w Polsce.

„Zasadom, które tak logicznie w moim rozwijały się umyśle i które potwierdzała cała historyczna przeszłość, jakby na przekór zdaje się przeczyć teraźniejszość. Kontrakt społeczny, wszechwładztwo ludu, zapoczątkowanie prawa za pośrednictwem większości głosów są to.. błędy, które myslałem zawsze, że praktyka i doświadczenie wkrótce potępi. Tymczasem muszę patrzeć od lat kilkudziesiąt, jak wszystko, co się dzieje na świecie, kłam tym zasadom zadaje". „Tak więc ludzkość, ukarana za swoją pychę, wpada pod panowanie siły. Maż to być prawdą? A jeżeli prawdą nie jest, jakże społeczeństwa takie, jak Francja, Anglja, Ameryka, Włochy żyją i kwitną na fałszywym gruncie? Straszne te pytania przerażają mnie na schyłku życia, a jednak wiary mojej w początek i ustrój społeczeństwa, w wykształcenie się władzy, w źródło prawa, nigdy nie odstąpię. Wcześniej czy później przewroty zmuszą ludzkość do powrotu na drogę prawdy".

Trzeba było wielkiej siły charakteru, ażeby wytrwać, tembardziej, że kraj własny nie tylko wyznawał nowe idee, lecz żył według nich i całą przyszłość swą stawiał na kartę, porywając się z bronią w ręku przeciw mocarstwom, które Polskę rozebrały. Popiel był jawnym i konsekwentnym przeciwnikiem powstań. O roku 1831 powiada:... „uważałem powstanie za największe nieszczęście, detronizację za akt najniepolityczniejszy". Mimo to wstąpił do wojska i dzielnie się sprawował, bo jak powiada, „kiedy kraj cały losy swoje ostrzu miecza powierzył, siebie ratować nie myslałem". Rok 1863 sądził jeszcze surowiej:... „to nie było powstanie, to nie była rewolucja, to był desperacki krwi przelew, aby ranę rozbioru utrzymać zawsze broczącą". Mimo to nie powstrzymał syna od wstąpienia w szeregi powstańcze. Łatwo sobie wyobrazić, jakie tragiczne chwile przeżywać musieli ludzie tacy jak Popiel, ile trzeba było charakteru i jakiej siły przekonań, by się nie ugiąć, by pozostać w zgodzie ze swem sumieniem. Było to tem trudniejsze, że w Polsce rzadką jest rzeczą zdolność przeciwstawiania się panującej opinji. Zwracała się ona ostro przeciwko Popielowi, który pozostawił po sobie pamięć wstecznika i ugodowca.

Podstawą jego siły duchowej było to, że był bardzo religijnym człowiekiem i gorliwym katolikiem. Głębokie zrozumienie nauki Kościoła Katolickiego dawało mu tę wiarę w istnienie prawd absolutnych i w konieczność ich nieprzejednanej obrony.

Był Popiel założycielem „Czasu" krakowskiego i bliskim przyjacielem starych konserwatystów krakowskich, patrzył na powstanie i pochód ku władzy młodych, przezwanych później Stańczykami. Przenikliwie też ich charakteryzuje: „Nie było antagonizmu, boć jedne były zasady i cele, ale u nas więcej duchowe i na zasadach oparte, u nich więcej praktyczne, oportunistyczne i dążące do władzy", Z tych różnic wywinął się upadek konserwatyzmu w Polsce, bo z kierunku opartego na „konserwowaniu" zasad, przeobraził się w kierunek „konserwujący" przywileje. Kto przeczyta pamiętniki Pawła Popiela, ten dostrzeże przepaść, jaka istnieje między tem, co dziś się nazywa konserwatyzmem, a prawdziwą zachowawczością ludzi poprzedniego pokolenia.

Różnił się też Popiel od nowego pokolenia konserwatystów swemi poglądami na sprawę żydowską i na rolę ludu w życiu narodu. Stańczycy, jak wiadomo, szukali współdziałania z Żydami, a zwalczali wszelkiemi środkami ruch ludowy. Inaczej myślał o tych zagadnieniach Popiel. Uważał on Żydów za potęgę rozkładową i jedną „z głównych przyczyn upadku Polski", o polityce zaś w stosunku do Żydów tak się wyraża: „Dwie są drogi — albo wydać im na drodze politycznej wojnę (boć krwawych instynktów ludu przeciwko nim pobudzać nie można), albo, jak chcą niektórzy, połączyć się z nimi przez małżeństwa i równouprawnienie socjalne. Niebaczny ten kierunek: równouprawnienie socjalne Żydzi wyzyskaliby dla sie-

bie, by podniósłszy się, móc tem łatwiej strawić nieprzyjazny element, a do tego tak słaby, jak polski. A za tem co? Wydanie Żydom wojny na polu politycznem, zaczynając od przywilejów, których używają, a kończąc na ograniczeniach, których właściwie opinja publiczna zażądać musi. Jeżeli ta opinja, czy to ulegając podejrzanemu dziennikarstwu, czy też zastraszona, nie zdobędzie się na to, za lat kilkadziesiąt despotyzm Izraela ciężko zaważy nad tym krajem".

W przeciwieństwie do Stańczyków wierzył Popiel w instynkt polityczny ludu polskiego. „Społeczeństwo nasze, jakkolwiek na powierzchni objawia chorobliwe znaki, w gruncie posiada lud zdrowszy od innych europejskich" — powiada w jednem miejscu, a w innem znów: „Wielu raziła tak znaczna liczba posłów w siermięgach (w sejmie galicyjskim) i bez politycznego wykształcenia... Mnie to zgoła nie raziło, bo uważałem, że u naszego ludu często spotykamy ten tak trafnie nazwany chłopski rozum, który prawie zawsze odgadnie, gdzie jest prawda". Na jednej z ostatnich stron „Pamiętników" robi Popiel takie oto ciekawe wyznanie: „Wymawiam sobie, słusznie, że... nie pracowałem więcej nad wytworzeniem stronnictwa, co w górze byłoby połączyło umysłowe i polityczne siły, a w dole weszło w stosunek z ludem, którego ogromna większość do dziś dnia jest zdrowa". Pisał to w roku 1887, w tymże roku przy udziale Popławskiego powstał w Warszawie tygodnik „Głos", który na idei powyższej był oparty, były więc kładzione fundamenty pod działanie obozu, który współpracę polityczną inteligencji z ludem wcielił w życie.

Gdy dziś z oddalenia w czasie patrzymy na życie Popiela i zapoznajemy się z jego sposobem myślenia, to widzimy, że gdyby żył, nie byłby już tak odosobniony, a życie nie byłoby tak dalekie od jego myśli. Stosunek do religji i Kościoła, poglądy na szkołę polityczną Russa i romantyzm wieku XIX-go, krytyczny pogląd na powstania nasze, zapatrywania w sprawie żydowskiej, wiara w instynkt polityczny ludu i jego „chłopski rozum", czyż ta cała treść wierzeń i poglądów Popiela nie ma wyznawców w najmłodszem, dziś wchodzącem w życiu pokoleniu polskiem? W oczach tego pokolenia nie będzie Paweł Popiel „wstecznikiem" i złym Polakiem, lecz przedstawicielem trwałych cech umysłu polskiego i człowiekiem z charakterem, ogniwem łączącem nowe pokolenia z dawnemi. Niech dziejopisarze sądzą jego rolę w polityce wieku XIX-go. Z tego co o nim wiemy i z jego pamiętników wyziera oblicze dobrego Polaka, zachowawcy w dobrem tego słowa znaczeniu. Ci, którzy dziś głośno się legitymują swym konserwatyzmem, powinni czytać pamiętniki Popiela, przekonają ich one o tem, że najważniejszą oznaką konserwatysty jest wierność zasadom i ścisłe przestrzeganie stosowania się do nich w życiu nietylko prywatnem lecz i politycznem. Konserwatyzm Popiela, jedyny zresztą, który zasługuje na to miano, był tego samego gatunku, co konserwatyzm hr. Chambord, który zrezygnował z tronu a nie wyrzekł sie barw, pod ktoremi jego przodkowie zrobili Francję wielką i potężną.

Dla dzieci przeznaczał swój „Pamiętnik", zasługuje wszakże ta książka na to, by ją czytali ci wszyscy, co szukają w przeszłości nauki i wskazań dla życia współczesnego. Jest bowiem dziwnie aktualna i porusza zagadnienia, które dziś zajmują wszystkie umysły i domagają się rozwiązania. Czytając ją, widzi się ciągłość życia polskiego i zależność naszą od myśli i działań pokoleń minionych. Wyznamy otwarcie, że zasady, których z taką wytrwałością bronił Popiel, są w naszem mniemaniu zasadami, od których przestrzegania zależy zdrowie i pomyślny rozwój narodów. Potępił je wiek XIX, lecz życie upomina się o swoje prawa, a kryzys, przez jaki przechodzi Europa dzisiejsza, nie jest niczem innem, jak tym „przewrotem", o którym pisze Popiel i który wynika z pogwałcenia żelaznych praw rządzących życiem ludzkości.

STANISŁAW KOZICKI

KONWENANS ROMANTYCZNY W LITERATURZE

GDY mowa o sztuce, wciąż się natykamy na zagadnienie dziwnie mało określone, a pomimo to wszechobecne. Chcę mówić o oryginalności. Pisał o tem niedawno na łamach „Myśli Narodowej" K. L. Koniński, wyróżniając aż siedem rodzajów t. zw. wpływów literackich, czyli podobieństw. Oscylują one pomiędzy analogją — a wyraźnym plagjatem. To też, jeśli mówimy potocznie o twórczości artystycznej, w szczególności literackiej, pojęcie to: „twórczość", należy brać z dużem zastrzeżeniem, albowiem nieznaczna tylko część artystów zasługuje na miano twórców, natomiast ogromna większość obrabia motywy już ustalone, popularne i uznane, wprowadzone na widownię artystyczną przez twórców rzeczywistych, zresztą niekoniecznie wyższych talentem od owych naśladowców.

Taką jednostką był n.p. Byron, wywierający wpływ olbrzymi na całą epokę. Wiemy, iż w pierwszej połowie XIX wieku nie było niemal w Europie pisarza, któryby nie ulegał w mniejszym lub większym stopniu jego wpływom. Fakt ten tłumaczymy zresztą w ten sposób, iż Byron wyraził pewne tendencje, tkwiące powszechnie w duszach współczesnych, wywabiając je niejako na światło dzienne.

Wpływy jednak romantyzmu były nietylko rozległe, ale i głębokie, sięgające aż do naszych czasów. W szkicu niniejszym ograniczymy się do paru przykładów bardzo nam bliskich i wciąż aktualnych.

Weźmy n.p. nowele Sienkiewicza i ich odbicie w literaturze. Nowele te (n.p. Szkice węglem, Bartek zwycięzca, Z pamiętników warszawskiego nauczyciela, Janko muzykant, Latarnik i in.) — bardzo łatwo sprowadzić do wspólnego mianownika, biorąc pod uwagę moment dziejowy, kiedy one powstały (1877-82). Jest to bowiem protest sponiewieranej i brutalnie skopanej po r. 63-im duszy polskiej, to wyraz wiary, że najsłabsza cnota jest więcej warta od triumfującej przemocy, a nawet jest to wręcz — rzecz najważniejsza! — apoteoza cierpienia, niepowodzenia i krzywdy, wywyższenie ich, oraz równocześnie potępienie siły, jako siły, jako zjawiska rzekomo z konieczności brutalnego i barbarzyńskiego. „*Gloria victis*" — chwała zwyciężonym! oto tytuł przynależny nowelom Sienkiewicza w równym stopniu, co późniejszym szkicom Orzeszkowej, opiewającym ofiary styczniowego powstania.

Ten jednak naturalny i swego czasu konieczny, oraz **twórczy** protest Sienkiewicza wywołał w naszej literaturze mnóstwo naśladownictw, ciągnących się szeregiem nieprzerwanym aż po dziś dzień, pomimo to, że tkwiła w nich przecież pewna niebezpieczna jednostronność, ujawniająca się dziś, w dobie naszej niepodległości, ze szczególną wyrazistością. Cho-

dzi o to, czy zawsze siła, powodzenie jest złem? czy każda porazka jest krzywdą? czy potępienie brutalnej rzeczywistości nie kryje w sobie niebezpieczeństwa generalizacji i nie pociąga za sobą odwrócenia się od rzeczywistości wogóle i oderwania się od życia? odejścia w sferę marzenia?

A taka teza zdaje się wynikać z niektórych naśladownictw Sienkiewicza. N.p. Zygmunt Bartkiewicz tak w „Historji jednego podwórza", jak zwłaszcza w zbiorze nowel p. t. „Polityka w lesie" dziwnie jednostronnie stawia kwestję. Oto w tej ostatniej książce mamy parę obrazków z wyścigów, gdzie autor posługuje się prostą metodą: wybiera jednego konia i jeźdźca, budzi ku nim sympatję, wtajemniczając czytelnika w całokształt spraw ich życia — i kończy wreszcie katastrofą tego właśnie konia i tego jeźdźca, niecąc współczucie dla porażki, oraz tem samem niechęć dla zwycięstwa jako zwycięstwa, albowiem nie wierzy do końca, czy ci, co wygrywają w wyscigach, nie są godniejsi od pobitych.

Zbliżoną metodą posiłkują się też inni autorowie, np. Stefan Kiedrzyński w swym „Romansie z pająceni", albo Zuzanna Rabska w świeżo wydanym „Grzechu markizy". Jest to system, jeśli się można tak wyrazić, *dez-iluzji*, dążenie do odarcia życia z uroku i pokazania nam oblicza zimnej i ironicznej rzeczywistości, urągającej wszelkiej nadziei i radości.

To ostre podkreślanie antynomji rzeczywistości i marzenia, — spóźniony refleks romantyzmu! — o ile u Sienkiewicza nie razi, będąc świadectwem reakcji duszy zbiorowej na tragedję sytuacji popowstaniowej, o tyle u jego naśladowców jest dowodem słabości i kłóci się z potrzebami współczesnego polskiego życia, wymagającego raczej podniety optymistycznej i wiary, że zwycięstwo jest rzeczą godną podziwu i uwielbienia, zaś rzeczywistość — to konsekwencja naszego życia i tworzywo rąk naszych, na co już przeszło ćwierć wieku temu otwierał nam oczy Wyspiański w „Weselu".

Jednak wszystkie te błąkania się współczesnej naszej literatury nie są ani w części tak jaskrawe i szkodliwe, jak naśladownictwa wzoru innego, przekazanego literaturze przez Żeromskiego. Mam na myśli inną antynomję, niebezpieczną i jednostronnie naciągniętą antynomję pomiędzy t. zw. ideowcem *vel* straceńcem — a filistrem, czyli „pospolitym zjadaczem chleba". Antynomja ta przejęta znowu z romantyzmu, także została przeniesiona gwałtem na grunt realnych polskich stosunków.

O „Straceńcach" mówi nader wymownie tenże Sienkiewicz w „Niewoli Tatarskiej", iż „wojnę nad wszystko umiłowawszy, w ustawicznej żołnierce prawie dziczeją, i na bitwę, jakoby właśnie na wesele, z radością wielką i śpiewaniem idą; ale czasu pokoju przykrzą sobie wielce, nie znadując zaś ujścia dla swych wojennych umorów, spokojnojności powszechnej zagrażają. Tych straceńcami zowią."

Otóż takie to typy umyślił wyidealizować Żeromski, i uczynił to w całym szeregu utworów, najjaskrawiej jednak w „Róży". Bohater jej, Jan Czarowic, taki właśnie straceniec, rabujący wedle własnego wyznania, „kasy publiczne", wyraźnie jest przeciwstawiony swemu bratu, Benedyktowi, owemu właśnie „filistrowi". Żeromski, apoteozując Jana, każe mu odebrać Benedyktowi narzeczoną, zrujnować go materjalnie, szerzyć agitację rewolucyjną śród robotników, być więzionym w Cytadeli, wreszcie walczyć z wrogiem za pomocą jakiejś cudownej piekielnej maszyny (analogiczne pomysły Żeromskiego: aeroplan w „Urodzie życia", miljony—w „Zamieci," szklane domy—w „Przedwiośniu). Że jednak w Żeromskim obok socjalistycznego doktrynera, romantyka i rewolucjonisty, apoteuzującego n. p. rewolucję 1905 r. („Zrozumieją wszyscy ludzie polscy, jak niezgłębioną krynicą regeneracji narodu była ta rewolucja") — zawsze bytował artysta, co kłamać nie może, więc oto jakie słowo poeta wkłada w usta Benedykta:

„Gdzieś był, kiedyśmy tu siali, orali, i prażyli się na upale, razem z ludem pracując na polu i przy warsztacie, razem myśląc, modląc się w kościele, zbudowanym przez przodków i trwale wierząc w lepszą przyszłość? Lud patrzy na moje ręce, na moją robotę i sprawę. Zwołaj ich, skąd chcesz i zapytaj się, czy Czarowic to nie uczciwy Polak, uczciwy pan i prawy człowiek?... A ty gdzieś wtedy był, coś wypracował? Przez pamięć ojca! Nie chciałbym usłyszeć, żeś brał udział w tem, co robili współwyznawcy twoich wierzeń. Ileż to krwi wylano za lada podejrzeniem, ile wylano niewinnej! A hasło? „Za mniejsze winy karaliśmy śmiercią",—„lepiej zgładzić dwu niewinnych, niż puścić jednego szpiega", — a wreszcie: „winien czy nie winien — kulą w łeb, skoro padło podejrzenie". Z takiego zatracenia prawdy, z tej otchłani rozbestwienia mogłoż wyrosnąć zdrowie nowego życia? Jeszcze nie zaczęli być rządem nowym, a już wdrożyli wszystkie zbrodnie i nadużycia rządów starych! Powiedz mi, gdzie jest rezultat całej twojej roboty?"

Słowa jednak Benedykta nie trafiają do przekonania Jana, a w intencji autora nie powinny przekonywać czytelnika, gdyż wedle Żeromskiego — to Jan właśnie jest godny sympatji i uwielbienia...

Od podobnych kreacyj romantycznych „poszły dymy po literaturze..." Zwłaszcza pewne zjawiska czasu wojennego zostały skwapliwie przez niektórych autorów, całkiem zresztą słusznie, zakwalifikowane jako romantyczne przedsięwzięcia w duchu Czarowica i wślad za Żeromskim zapoteozowane. Kadena — Bandrowskiego „Proch" i „Generał Barcz", Andrzeja Struga—„Pokolenie Marka Świdy", Jerzego Ostrowskiego „Sztandar na maszcie", Zygmunta Kiesielewskiego — „Błąd" oraz inne powieści t. zw. legjonowe, są to wielokrotne kopje Żeromskiego „Róży". Bohaterowie tych utworów nic absolutnie nie robią, przeciwstawiają się jeno „filistrom", „zjadaczom chleba", lecz zato posiadają całą sympatję autorów, którzy starają się ją przeszczepić bezkrytycznym czytelnikom. Najdowcipniej bodaj postąpił Kisielewski, które swemu bohaterowi, byłemu profesorowi gimnazjalnemu, każe najpierw wstąpić do legjonów, potem zaś dostać się do szpitala rosyjskiego, wreszcie w r. 1917 brać udział w gromieniu Pałacu Zimowego carów rosyjskich. Bohater ów tłucze tam lustra, gruchocze kolbą karabinu masywne fotele z rzeźbionemi dwugłowemi orłami, nakoniec rabuje skarbiec, skąd wynosi brylantów na okrągły miljom funtów szterlingów. Wróciwszy do Polski, tworzy jakąś sielankową kolonję — komunę, nazwaną przez siebie Słońcowem, gdzie buduje pomiędzy innemi świątynie Słońca (przez duże S!) — i w trakcie tego ginie z rąk „towarzysza", (To znowu — na ten raz dodatni wpływ Żeromskiego!)

Oto parę przykładów romantycznego konwenansu pokutującego wciąż jeszcze w naszej literaturze. Jedną niewątpliwie korzyść one przynoszą: dyskredytują mianowicie jednostronne pomysły skądinąd wielkich

pisarzy, doprowadzając je do ostatecznych konsekwencyj, czyli do absurdu. Trzeba jednak te konsekwencje ujawniać i skierowywać literaturę na te tory, kędy ją wiedzie naturalny rozwój duszy polskiej, a które jej wytknął był swego czasu Norwid, głosząc prawdę, iż „wszystko“ ukryte w codzienności, to właściwe tworzywo poezji, bo

„Cichy co rok widok łanu,
Majestatyczny bywa niemniej od wulkanu“,

albo też Wyspiański przez swą satyrę na marzenie, usymbolizowane w Złotym Rogu lub Wernyhorze, i apoteozę rzeczywistości, wyobrażonej przez krzew różany, lub poprostu — przez serce...

STANISŁAW CYWIŃSKI

ZAGADNIENIE PRZYRODY DAWNIEJ I DZIŚ

CZŁOWIEK dzisiejszy mało czasu poświęca własnemu życiu duchowemu. Nauczony od młodości przykładem otoczenia stara się przedewszystkiem zapewnić sobie wygodny dobrobyt, który mu podsuwa wspaniały rozwój techniki i zbytków wielkomiejskich. Ta atmosfera komfortyzmu, że tak powiem, wytworzyła niechęć do zaprzątania sobie głowy wszystkiem, co nie prowadzi bezpośrednio do ulubionego celu zaspokojenia wybujałych potrzeb materjalnych. Nic też dziwnego, że i w kwestji tak delikatnej a ważnej dla psychiki ludzkiej, jak stosunek wzajemny człowieka i świata przyrody, dzień dzisiejszy odznacza się naogół obojętnością, która przecież niezawsze cechowała kulturę nowoczesną.

Przypuszczeń na temat: kiedy zaczęto odczuwać krajobraz, istnieje sporo. Jedni uważają, iż długowiekowy brak dokumentów artystycznych dowodzi braku zrozumienia i afektu dla piękna pejzażu; inni uczeni skłonni są mniemać, że sentyment dla krajobrazu istniał zawsze, lecz dawniej wyrażał się nie w filozofji, literaturze i sztuce, lecz w życiu praktycznem, np. w wyborze malowniczych ustroni na miejsca święte. Dowodem tego ma być siedziba wyroczni delfickiej w czeluściach Parnasu, święte dęby litewskie, wapienne skały, z których Benedyktyni kluniaccy trzęśli światem, a u nas Tyniec i Jasna Góra.[1]) Trudno się o takie rzeczy spierać, ale wybór malowniczych miejsc mógł być dokonany równie dobrze ze względów estetycznych co utylitarnych: czeluście i stare drzewa dają cień, chłód w lesie, chronią od wichrów w zimie, góry dają łatwość obrony, przytem samotne zakątki mogły z powodów psychologicznych działać przez swe odosobnienie, mogły potęgować atmosferę kultu religijnego.

Dawniej był człowiek zapewne ściślej związany z naturą, niż w czasach najnowszych, ale naogół tego nie wyrażał, bądź z nieznajomości środków ekspresji, bądź też z nieuświadomienia własnego stosunku do przyrody. Ludzie pierwotni musieli współżyć z przyrodą, walcząc z nią na śmierć o każdy kes mięsa, o bezpieczny nocleg i szczęśliwe przebycie miejsc karkołomnych, ale rzadko kiedy zdawali sobie krytycznie sprawę z rodzaju współżycia — przynajmniej niema tego wyraźnych śladów. Ich stosunek do natury miał prawdopodobnie charakter przedewszystkiem fizyczny, biologiczny.

Rzecz jasna, iż w rozwoju dziejowym cywilizacji europejskiej przedstawia się to w sposób skomplikowany. Cała kultura grecko-rzymska, nietylko sztuka, była antropocentryczna, zwrócona ku człowiekowi. Starożytni byli przedewszystkiem obserwatorami życia duchowego — uczucia, intelektu i woli, byli moralistami i psychologami. Jakże charakterystyczny jest sławny Chór z „Antygony“:

Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga
Dziwy, człowieka potęga.

— — — — — — — — — — — — — —

Wszystko rozumem zwycięży

— — — — — — — — — — — — — —

Wynalazł mowę i myśli, dał skrzydła
I życie ujął w porządku prawidła

— — — — — — — — — — — — — —

Na wszystko z radą on gotów.

Przyrodę widzieli starożytni, jako tło bytu ludzkiego, zawsze takie samo, rozumieli ją statycznie. Następstwem pojęcia człowieka jako centrum świata był utylitaryzm w stosunku do natury.[2]) Budziła ona zainteresowanie i oddźwięk uczuciowy o tyle, o ile była ludziom wygodna, przyjemna i pożyteczna. W średniowieczu głęboka bezinteresowna miłość przyrody św. Franciszka z Assyżu jest wyjątkiem, coprawda wyjątkiem doniosłym. Jego sławny hymn „*Laudes creaturarum*“, zwany popularnie „*Cantico di frate Sole*“, wyśpiewany w mistycznej ekstazie, natchnionej przez piękno słonecznej Umbrji, — jest jedynym w swojej epoce dokumentem radosnego zespolenia duszy ludzkiej z całą naturą. W ciągu wieków, zwłaszcza od renesansu, idzie ewolucja w sensie bardziej duchowego traktowania przyrody, która też zaczyna powoli wyodrębniać się jako motyw samoistny w malarstwie a następnie w poezji.[3]) Ten proces posuwa się u schyłku w. 18 i u wstępu w. 19 o potężny krok naprzód. Wywołuje zwrot, a w każdym razie ogromnie go ułatwia ówczesny kryzys cywilizacji europejskiej, wyrażający się zwłaszcza w degeneracji warstw oświeconych narodów romańskich, głównie Francji. Zwątpienie o wartości człowieka i jego wytworu — kultury, a w następstwie dysharmonja jednostki ze zbiorowością, rozwarła na oścież duszę ludzką dla świata przyrody swobodnej, samotnej i dzikiej. Ona przestaje być tylko tłem fizycznem życia człowieka; wyraźnie precyzuje się zespolenie z nią uczuciowe i związek intelektualny, występuje motyw główny: bezinteresowna kontemplacja natury jako skarbnicy podniet estetycznych i moralnych.

Równolegle dokonywa się przemiana w formie stosunku ludzi do przyrody. Rozmarzeni jej urokiem, na który dotychczas mało szczerej uwagi zwracali, zainteresowani niewyzyskanem źródłem wrażeń, rozszerzają swą wizję natury, pojmują jej różnorodność i zmienność, jej dynamikę i zdobywają się na nowy, indywidualny sposób ekspresji artystycznej. Senty-

[1]) Por. Eugenjusz Romer: Krajobraz w sztuce i nauce. „Ziemia“. 1912, Nr. 9, s. 130.

[2]) Por. A. Dauzat: *Le sentiment de la nature*“. Paris 1914, s. 177 n. Historje poczucia przyrody opracowywali m. in. Victor de Laprade: „*Le Sentiment de la nature*“ i Alfred Biese: „*Die Entwickelung des Naturgefuehls bei den Griechen*“ oraz „*Die Entwickelung des Naturgefuehls im Mittelalter in der Neuzeit*“. Leipzig. 1882. Kilka ważnych dzieł cytuje Dauzat w zestawieniu bibljograficznem, które umieścił na końcu swej znakomitej ksiażki.

[3]) Por. J. G. Pawlikowski: „Kultura i natura“. Lwów 1913, s. 6-7. i Dauzat op. cit. s. 154-5.

mentalizm z J. J. Rousseau na czele, a potem romantycy, tworzą nową metodę i technikę wyrazu pisarskiego. Ze zmianą postawy człowieka wobec przyrody jego życie duchowe wzbogaciło się o całą sferę nowych wzruszeń, zagadnień i refleksyj. Objawem tego były gusty ogółu, rozkwit literatury uczuciowo-nastrojowej, malarstwa pejżażowego i nauk przyrodniczych. Studjum natury weszło do repertuaru stałych, uprzywilejowanych motywów w sztuce, aż do naszych dni.

Twórcza energja kulturalna sięgała w nowe dziedziny, objęła szerzej świat otaczający. Równocześnie nastąpiło częściowe zaniedbanie tych problematów, które według klasycznej tradycji grecko-rzymskiej były najważniejsze: w stuleciu ubiegłem dostrzegamy pewnego rodzaju zlekceważenie człowieka i jego aspiracyj. Osłabł instynkt mądrości życiowej i zdolność poznawania ludzi takich, jakimi są naprawdę, osłabło zamiłowanie do wnikliwej moralistyki psychologicznej, choć rozbujała manja niepraktycznego moralizowania. Znajomość natury człowieka, filozofja ludzka, raczej obniżyła się, niż wzrosła. Pomimo rozwoju psychologji i nauki o obyczajach, studjum sumienia, skłonności i temperamentu ludzkiego nie postąpiło naprzód. Dorobek poznawczy nauk filozoficznych w 19 w. sprowadza się przeważnie do zagadnień szczegółowych albo do opracowań historycznych; analizy, nieraz bardzo doniosłe, dokonywane na podstawie nowych metod, dotyczą pewnych fragmentów życia duchowego. Stanowcza przewaga analizy nad syntezą w filozofji i sztuce rozbiła dawną koncepcję człowieka, a nie stworzyła nowej. Jeśli w dzisiejszym chaosie kulturalnym istnieją próby ujęcia ideału ludzkiego, zjawisko to występuje w samorzutnych prądach społecznych i narodowych, a nie w oficjalnej filozofji, która naogół zrezygnowała ze swych najszczytniejszych zadań i celów w życiu kulturalnem. Zainteresowanie dla problematów etycznych, które są kośćcem każdej cywilizacji, wyraźnie zmalało. Nie zwracamy dość uwagi na fakt, że stulecie ubiegłe z nielicznemi wyjątkami jak Carlyle, Hello i Nietzsche, nie wydało wybitnych moralistów. Wielkie szkoły etyczne greckie i rzymskie, średniowieczna idea doskonałości chrześcijańskiej i jej święci teoretycy i praktycy, wspaniali pisarze moraliści francuscy: Montaigne, Pascal, Bossuet, La Rochefoucauld, La Bruyère — nie mają godnych kontyunatorów.

Cywilizacja europejska w. 19 poszła w kierunku olbrzymiego rozrostu wynalazków technicznych, industrjalizmu i urbanizmu. Para i elektryczność, wraz ze spotęgowaną zachłannością ludzi współczesnych na złoto, zaczęły z biegiem lat tłumić ożywczy bądź co bądź prąd kultu natury świeżej, nieskrępowanej, samorodnej. Coprawda poczucie przyrody zatoczyło już kręgi dość szerokie, dowodem tego chociażby tysiące pięknie położonych parków, miejsc wypoczynkowych, uzdrowisk, turystyka i inne sporty, alpinizm czy taternictwo i t. p. Jednakże nawet te dodatnie objawy pociągają często za sobą zeszpecenie natury przez zbytnie przystosowanie jej do wygody ludzkiej; tembardziej tam, gdzie nie chodziło specjalnie o zachowanie malowniczości okolicy, rozwój przemysłu, gęstość fabryk, wycięcie lasów, rozliczne środki komunikacyjne odebrały całym połaciom kraju ich właściwą fizjognomję. Możnaby powiedzieć, iż jeśli na przełomie w 18 i 19 zaznaczył się zwrot od człowieka ku przyrodzie, to w naszem stuleciu nastąpił zwrot do maszyny.

Reakcją na bezwzględny utylitaryzm ekonomiczny, niszczący naturę, pozbawiający ludzi zdrowego powietrza i swobodnej przestrzeni, stała się idea ochrony przyrody i ruch, który się dokoła niej sformował. Uczucie sympatji i zrozumienia wartości idealnych, które tkwią dla człowieka w krajobrazie, przywiązanie do pierwotnego wyglądu zakątka ziemi ojczystej, szczególny sentyment do natury dzikiej, tak charakterystyczny dla ludzi kultury nowoczesnej[1]) — oto główne motywy prądu. Ustawy państwowe, towarzystwa prywatne, zjazdy, publikacje naukowe i popularne dowodzą konieczności chronienia przyrody, zakładania parków narodowych, rezerwatów etc., zmuszają i uczą godzić potrzeby techniczne, koleje, telefony itd. z nakazami estetyki krajobrazu. Zaczęto sobie uświadamiać powszechnie, że piękno pejzażu jest nietylko źródłem przyjemności używania estetycznego, ale że pośrednio wchodzą tu w grę również poważne wartości hygjeniczne, społeczno-gospodarcze i narodowe, gdyż przyroda potęguje radość życia i siły człowieka do pracy, a zarazem jest najsilniejszem ogniwem, łączącem go z ojczyzną.[2]) Są oczywiście jednostronni urbaniści, ludzie połowiczni, pozbawieni sentymentu dla przyrody, podobnie jak istnieją racjonaliści niezdolni do wzruszeń mistycznych, nierozumiejący potęgi i głębi przeżyć religijnych. Entuzjaści miasta i maszyny zaprzeczają istnienia dla człowieka walorów produktywnych, twórczych w kontemplacji przyrody,[3]) ale zdrowe poczucie sfer inteligentnych i ofiarne wysiłki wybitnych jednostek, uznających doniosłe znaczenie natury w rozwoju cywilizacji narodowej, robią swoje.

Podobnie jak we wszystkich krajach kulturalnych rozpoczął się i w Polsce przed wojną ruch ochrony przyrody i ruch krajoznawczy. Moda turystyki, liczne wycieczki w różne strony Polski otwierały nowe horyzonty ludziom, pragnącym poznać własny kraj, budziły i umacniały uczucie miłości całej ojczyzny, bez względu na kordony, dawały wzruszenia estetyczne i podniety intelektualne, płynące z obserwacji i porównań. Dowodem tego dość obfita literatura krajoznawcza, zdobiona zdjęciami fotograficznemi o wielkiej nieraz wartości artystycznej, jak np. znane prace Jana Bułhaka. Rozwój krajoznawstwa i miłośnictwa przyrody — dodajmy nawiasem — przyczynił się też zapewne do ogólnego rozkwitu fotografji artystycznej w Polsce. Działalność takich instytucyj jak „Towarzystwo Krajoznawcze", „Towarzystwo Tatrzańskie", czasopisma jak „Ziemia" i „Wierchy" mają chlubne karty w dziejach kultury narodowej. Ruch krajoznawczy przyczynił się niewątpliwie do powstania ważnego prądu—regionalizmu, którego celem jest opieka nad pomnikami natury i kultury poszczególnych zakątków kraju, jako nad ożywczemi współczynnikami całej, wspólnej kultury narodowej. Po odzyskaniu niepodległości akcja ochronna skupia się w ręku „Państwowej Rady Ochrony Przyrody", której działalność rozwija się w szybkiem tempie, jakkolwiek niedostatecznie popierana przez społeczeństwo.

Problemat natury i życia na jej tle ma wielką wagę dla rozwoju cywilizacji polskiej. Jeśli szkodliwa była w przeszłości jednostronność kultury rustykalnej, wiejskiej, to jednostronność kultury miejskiej, urbanizm jest może gorszy, gdyż sprzeczny z tradycją polską, nie związany z ewolucją historyczną narodu. Ideałem współczesnym powinno być dążenie, by między obydwoma kierunkami roztropnie zachować miarę.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

---

[1]) Por. Pawlikowski, op. cit. s. 44.

[2]) op. cit. s. 31 — 3.

[3]) Ten pogląd zwalczały głęboko pomyślane artykuły K. L. Konińskiego („Myśl Narodowa" R. VII, Nr. 22, 23).

UCHYLENIE KONFISKATY

Sąd Okręgowy w Warszawie pod przewodnictwem Wiceprezesa Laskowskiego przy udziale Sędziów Kozakowskiego i Posemkiewicza rozpoznawał na posiedzeniu gospodarczem dnia 3-go b. m. sprawę zarządzonego przez Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę zajęcia № 3 czasopisma „Myśl Narodowa" z dnia 1-go b. m. Zajęcie tego numeru „Myśli Narodowej" nastąpiło wskutek umieszczenia artykułu Aleksandra Świętochowskiego p. t. „Liberum Veto", w którym Komisarjat rządu dopatrzył się cech przestępstwa z art. 1 rozporządzenia p. Prezydenta Rzplitej, z dnia 10 maja 1927 r. o prawie prasowem.

Nie upatrując w artykule A. Świętochowakiego cech jakiegokolwiek przestępstwa, w szczególności zaś przestępstwa z art. 1 rozp. Prezydenta Rzplitej, Sąd Okręgowy zarządzone przez Komisarjat Rządu zajęcie Nr. 3 „Myśli Narodowej" z dnia 1-go b. m. uchylił.

Motywy decyzji Sądu, jak wynika z dosłownego wyciągu z dziennika posiedzenia gospodarczego wydziału VIII karnego Sądu Okręgowego w Warszawie, odbytego w dniu 3 lutego r. b., brzmią jak następuje:

„Mając na względzie, że zamieszczony w N-rze 3-im czasopisma „Myśl Narodowa" z dnia 1 lutego 1928 r. artykuł Aleksandra Świętochowskiego p. t. „Liberum veto", w szczególności zaś inkryminowane przez Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę ustępy tego artykułu żadnych wiadomości świadomie kłamliwych o działalności władz państwowych nie podają, że w rzeczonym artykule autor, zastanawiając się nad sytuacją wewnętrzną państwa i poszczególnemi przejawami życia państwowego, poddaje jedynie swej ocenie krytycznej zaobserwowane zjawiska życiowe, że taka ocena — choćby nawet i mylna w myśl cz. 5 art. 1 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 18 maja 1927 r. ściganiu nie ulega, że wobec tego dla braku w treści omawianego artykułu cech przestępstwa dokonane zajęcie „Myśli Narodowej" winno być uchylone, Sąd Okręgowy zadecydował: zarządzone przez Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę zajęcie N-ru 3-go czasopisma „Myśl Narodowa" z dnia 1 lutego 1928 r. uchylić i korespondencję zwrócić Prokuratorowi przy Sądzie Okręgowym w Warszawie".

Wobec decyzji powyższej zamieszczamy dzisiaj, opócz kolejnego feljetonu, ów skonfiskowany.

LIBERUM VETO

I

Środek na zniszczenie źródeł historycznych.—Normalny przebieg sprawiedliwości.— Bezradny krawiec.— Gra komunistów. — Katechizm sanacji. — Pożądany okólnik. — Zaraza moralna i jedyne błogosławieństwo.

ODDAWNA na to czekam, ale gdy widzę, że „sanacja" nie widzi groźnego dla siebie niebezpieczeństwa, muszę ją ostrzec. Wiadomo, że druki na obecnym papierze mają w niedalekiej przyszłości zginąć, gdyż masa drzewna, z której on jest wyrabiany, rozsypie się. W książkach i gazetach gromadzi się olbrzymi materjał dowodowy, oświetlający należycie nasze dzieje współczesne, pełne chwały, ołtarzów, pomnikow, kadzideł, modłów, bram triumfalnych, wieńców, koron, tronów, genjuszów, mężów opatrznościowych, bogów i krewnych Chrystusa. Liczyć na to, że przyszli historycy wcale tych bogatych źródeł nie zauważą, albo ich nie zużytkują—trudno. Są to szperacze ciekawi, niekiedy sędziowie bardzo surowi, bezwzględni i sprawiedliwi. Niechże im dostaną się do rąk akty napadów i morderstw z nieujawnionymi sprawcami, niewykonane wyroki, dymisje, nominacje, translokacje, gratyfikacje, wogóle „sanacje"—co z tego wypadnie? Potwarze i plotki, które ustalą się w historji jako prawdy i pręgierzowe wyroki. Ażeby temu zapobiec, przezorni sanatorowie powinni postarać się o zakaz drukowania książek, broszur, dzienników i ulotek na papierze trwałym, szmacianym i o przywilej używania go wyłącznie dla swoich wydawnictw. Wtedy będą zupełnie zabezpieczeni, że to tylko przejdzie do potomności, co oni napiszą, wtedy nie przekradnie się do niej ani jedno bluźnierstwo, ani jedno słowo, zasługujące dziś na konfiskatę, grzywnę i więzienie. Innego skuteczniejszego środka nie widzę. Ofiaruję radę, na jaką mnie stać.

Śledzenie zbirów — przepraszam ich za ten ogólnie przyjęty tytuł—w sprawie Nowaczyńskiego odbywa się w tempie ustalonem, przebiegu znanym i z wynikiem wiadomym. Gazety niepotrzebnie trudzą się podawaniem wiadomości stereotypowych, które umiemy na pamięć z energicznych poszukiwań napastników Zdziechowskiego, Mostowicza i innych ofiar, o których wspominać nie należy. Niech się skarżą na los, że ich stworzył ludźmi pewnych przekonań i zasług, a nie skradzionemi klejnotami, futrami, pakami towarów — wtedy gorzej umiejący ukrywać się sprawcy byliby zapewne wykryci i schwytani łatwiej. Uwagę tę piszę bez skrupułu, bo ona nie będzie drukowana na papierze drzewnym.

Amatorowie tego prawdziwie rodzimego filmu uraczą się niewątpliwie dalszym jego ciągiem w nadchodzących wyborach do ciał prawodawczych. Wtedy dopiero będą mieli bogatą galerję barwnych obrazów kulturalnej walki na pięści, pałki, noże i rewolwery, której zwycięzcy, uwieńczeni wawrzynami, będą pokazani narodowi na scenie za kurtyną i (jak tego żądał pewien szewc, umiejący naciągać skórę na różne kopyta) amnestjonowani. Prawdopodobnie dlatego objawia się coraz wyraźniej w społeczeństwie niezwykła obojętność w spełnieniu tego czynu, który gdzieindziej nazywa się obowiązkiem obywatelskim, a u nas kiwaniem palcem w bucie. Prasa nielibiryjna pomstuje na tę apatję i napędza wyborców do urny. Jej zachęty i nagany w oderwaniu od rzeczywistości są słuszne, ale z drugiej strony trudno dziwić się ludziom przekonanym, że ilekolwiek i jakiekolwiek złożą głosy, przyszły parlament z wolnej i nieprzymuszonej woli narodu albo będzie taki, jaki musi być, albo nie będzie wcale.

Chociaż nieuznani urzędowo i zagrożeni unieważnieniem swoich list, komuniści nie cofają się od gry, bo stawiają na loterji zamętu i niespodzianek. Gdyby do krawca przyniesiono kawałki skóry, papieru, ceraty, różnobarwnych tkanin wełnianych, bawełnianych i jedwabnych z poleceniem, ażeby z tego uszył strojne ubranie, odpowiedziałby niezawodnie, że z takiego materjału nie zrobi nawet torby dziadowskiej. A jednakże majsterkowie polityczni podejmują się podobnych obstalunków. Niektóre ogłoszone odezwy wyborcze są taką różnorodną i pstrokatą wiązką „jednolitego frontu". (Bodaj z piekła nie wyjrzał, kto tę piłę frazeologiczną wynalazł — mówią przeciwnicy wszelkiego łgarstwa). Otóż komuniści zasadnie przypuszczają, że w owej szacie arlekina może się wszyć również ich kawałek. Bo uprzytomnijmy sobie w zestawieniu wypadki, powtarzające się codziennie. Wyznawanie bolszewizmu jest karane ciężkiem więzieniem, a jednocześnie toczą się dyplomatyczne układy o przyjacielskie stosunki z bolszewikami. Policja tropi i wyciąga z rozmaitych jam komunistów, którzy się ukrywają, a nikt nie przeszkadza swobodnie krążyć, agitować i wiecować jawnym. Przeciwnie, pozostają oni podobnie jak marjawici, pod opieką administracji, wszystkie bowiem zwrócone przeciw nim odczyty zostały zakazane. Gdy na wieczorze sylwestrowym w cyrku monologista wymówił kilka słów przeciw bolszewikom, galerja zahuczała takim rykiem, że musiał zejść z estrady.

Przy rewizjach w kryjówkach komunistycznych zdobywane i konfiskowane są paki pism agitacyjnych, ale nikt nie wyławia rozdawanych w jeszcze większej

ilości na ulicach odezw, pisanych w stylu zmarłego Lenina i żywego Trockiego. Oszołomiony temi sprzecznościami syn Polski, ubieranej w klownową szatę, woła jak ów krawiec: powiedzcie mi raz do stu djabłów wyraźnie, kim ja mam być? Demokratą, arystokratą, republikaninem, anarchistą, bundzistą, sjonistą, rabinistą lub jeszcze jakimś innym gatunkiem, bo nazwa „sanatora“, zwłaszcza gdy nie dano mi do jedzenia kiełbasy bez końca i konwi piwa bez dna, niczego mnie nie uczy. Doprawdy trudno odmówić słuszności temu rozpaczliwemu żądaniu. Powinien być koniecznie wydany katechizm „sanacyjny“, zawierający jasno wyrażone przykazania, które obywatel nie tylko z prawem pięcioprzymiotnikowem, ale z głową pięcioklepkową mógłby zrozumieć i zapamiętać. Bez takiego katechizmu, w którym z dawnego należałoby zostawić tylko jedno, odpowiednio zmienione przykazanie: „nie będziesz miał innych bogów przede mną“ a pozostałe, zwłasza dotyczące kradzieży, zabójstwa, fałszywego świadectwa, pożądania rzeczy bliźniego, stanowczo usunąć — mogą zdarzyć się w bieżących wyborach fatalne nieporozumienia i omyłki. Każdy niewprawny w odróżnianiu gatunków gotów oddać głos na kościuszkowca w naiwnem przekonaniu, że właśnie na „sanatora“.

Urzędy administracyjne na prowincji otrzymały napomnienie, że nie badają ściśle szerzenia chorób zakaźnych i nie starają się im zapobiec. Dbałość bardzo chwalebna, ale dlaczego tylko o ciało? Jakby to pięknie brzmiał i jakie dobre skutki wydał taki np. okólnik rozesłany do województw, starostom i wójtom gmin: „Coraz bardziej szerzące się rozmaite postacie zarazy moralnej wymagają energicznego przeciwdziałania i leczniczego wpływu wszystkich organów rządowych i czynników społecznych. W tym celu nakazujemy i zalecamy użycie wszelkich środków i sposobów dla zatamowania tej epidemji i zabezpieczenia ludności nią jeszcze nie dotkniętej. Należy na zebraniach wyjaśniać, że rozboje, napady, morderstwa, kradzieże, oszustwa, dokonywane pod pozorem i hasłem „sanacji“ nie są bynajmniej uznane przez sfery miarodajne za normy postępowania i nie mogą być wzorem do naśladowania w niższych warstwach społecznych i sporach prywatnych. Kto kogokolwiek napadł, okaleczył, zamordował, okradł, oszukał, powinien być bezwarunkowo wyśledzony, aresztowany i oddany sądowi“. Taki okólnik wywarłby dobroczynny wpływ na tę część ludności, której wydaje się, że wszystkie prawa zostały odwołane, jako rozporządzenia tymczasowe i we wskrzeszonej Polsce bezużyteczne. Nadto zdarzają się optymiści, którzy twierdzą, że każdy czyn zły jest wyosobniony w życiu społeczeństwa, że nie staje się źródłem zarazy moralnej, oddziaływającej w szerokim obrębie. Jest to gruby błąd, najoczywiściej ujawniający się w tym fakcie, który nie przestaje istnieć, chociaż zamkniemy oczy, że w narodzie naszym obniżył się przerażająco poziom moralności. Polska jak żyje nie była chyba nigdy tak niemoralną, jak obecnie, i z zewnątrz uzyskuje błogosławieństwo jednej tylko potęgi — rabina palestyskiego.

II

Nowa wiedza.—Przemiena nicości na coś.—Dwójka świetna. — Charakter.—Ludzie mocni.—Przykład.—Właściwy taniec i właściwa muzyka.—Nasza smutna sława.

NAJDŁUŻSZĄ i najdokuczliwszą „piłą“ jest obecnie dla czytelników gazet naczelnik rządu litewskiego. Jak nie można otworzyć ilustracyj, ażeby nie zobaczyć półgołej aktorki lub pewnego „męża stanu“, tak samo nie można spojrzeć na telegramy dziennikarskie, ażeby z nich nie wyskoczył natychmiast Waldemaras. Nie jest on zresztą jedynym bohaterem nagłej sławy. Rodzaj „nowobogackich“, którzy wyrośli po wojnie, jest bardzo liczny i rozmaity. Są w nim łapigrosze którzy stali się miljonerami, są głupcy, którzy stali się mędrcami, myśliwi i gimnastycy, którzy stali sie strategami, są spijacze czarnej kawy w cukierniach, którzy stali się przywódcami stronnictw politycznych, wogóle są znakomitości o których przedtem wiedzieli tylko krewni i znajomi, albo nawet — jak mówi lud — pies z kusą nogą nie wiedział, a którzy stali się przedmiotami powszechnej uwagi, podziwu, czci i bałwochwalstwa. Po wojnie musieliśmy wyrzucić z pamięci starą wiedzę i zdobyć nową, nauczyć się nowej historji, filozofji, etyki, logiki, socjologji, prawa, a nawet religji gdyż kazano nam wierzyć w innych bogów, mesjaszów, świętych, proroków, cudotwórców i mężów opatrznościowych. Jak nikt — oprócz geografów i mieszkańców okolicznych — nie słyszał, że istnieje jakieś Locarno ani nie przypuszczał, że ono kiedyś będzie ważnym ośrodkiem polityki europejskiej, przemiana z nicości na coś wielkiego dokonała się w ludziach. Ostatecznie nie byłaby ona żadnem strapieniem, gdyby nie polegała na hypnotyzacji, sztukach derwiszowskich lub zwyczajnem oszustwie. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby skromna bóżnica żydowska przemieniła się rzeczywiście na wspaniałą katedrę katolicką, kundel na lwa a krzaczek na olbrzymie drzewo, gdyby magik, połykający szpadę lub wzlatujący w górę na dywanie, rzeczywiście połykał i wzlatywał, ale gdy to jest tylko durzeniem naszych oczu, wolimy widzieć prawdę. I widzimy ją ciągle nieraz z wielkiem oburzeniem i smutkiem.

P. Waldemaras jest rodzajem karty, którą gracze uczynili atutem „*Kozyrnaja dwojka tuza bijot*“ mówi anegdota o Puszkinie przy spotkaniu z Mickiewiczem. Dyktator Litwy jest dwójką, najniższą kartą w talji politycznej, a Niemcy i bolszewicy zrobili ją „świetną“. Dopóki trwa gra, nie tylko używa ona przywileju bicia asów, ale uważa się za coś od nich wyższego. Trzeba mu jednak przyznać ważną zaletę dla sprawiedliwości i dla przykładu. Waldemaras jest charakterem mocnym. Gdyby to był miętus z dobrze znanego nam gatunku, Stressemanny i Cziczeriny niby z niego nie wykuli. Dzięki swej twardości stał się postacią pierwszoplanową, najczęściej zatrudniającą drut telegraficzny. Nie należy więc tylko z niego drwić, obrzucać kamieniami, kamykami i błotem, ale go naśladować w tem, co jest jego siłą i co jest również siłą w polityce. Chamberlain wsadzi sobie szkiełko w oko, uśmiechnie się do wszystkich, o ile tekturowa twarz Anglika umie się sfałdować, gotów zagrać w hockeya albo zboksować się z każdym członkiem Ligi Narodów, jest grzeczny, uprzejmy, ale natychmiast wyprostuje sie, zesztywnieje i stwardnieje, gdy ktoś zechce uskubnąć kruszynę z interesu Anglii. Stresemann jest z wierzchu miękiem, dobrodusznym Buchholtzem, którego, zdaje sie, można zrobić „księciem karnawału“ w Lipsku lub Kolonji, ale sprobujcie mu coś uszczknąć z interesu Niemiec, zaraz tak was uderzy po ręce, że musicie ją wziąć w łupki. Nie trzeba przypominać o potężnej pieści Mussoliniego, który jej nigdy nie otwiera i zawsze trzyma gotową do udrzenia. Otóż Waldemaras ma również stalowy kościec i dlatego, chociaż nie własnemi piersiami, ale przy pomocy miechów niemiecko-sowieckich rozdyma roztopioną garść piasku litewskiego w wielką banię szklaną, która łatwo może się stłuc, nadaje swojej ojczyźnie znaczenie, któregoby bez jego uporu nie zyskała. O Litwie mówi cała prasa wszechświatowa, Litwa jest przedmiotem rozważań i obrad dyplomatycznych, Litwa wypłynęła ze dna morza jako

mała ryba i rozrosła się na jego wierzchu w wielką. Nie wszystko, ale coś z tego rozrostu pozostanie dla niej a dla krętogłowych i piskorzowych dyplomatów pozostanie przykład i dowód, że powodzenie nie zależy od giętkości i miękości.

Czy warto i wypada prawić kazanie podczas jazzbandu? Może wybrałem się z poważnemi sprawami nie w porę, kiedy jęcząca, stękająca, płacząca z niedostatku, z drożyzny i małych pensyj urzędniczych Warszawa nogami wydobywa „radość życia" i środki dobroczynne, dla ratowania nagich i głodnych. Nie widziałem nigdy tokowania głuszców i rui jeleni, ale zdarzało mi się nieraz mijać psie wesela, pomimo więc, że nie byłem na żadnym dancingu, mam niejakie wyobrażenie o tem, co się w nim dzieje. Otóż muszę stanąć w obronie muzyki tych zabaw. Orkiestra podobno nie gra, lecz wyje, szczeka, tłucze, grzmoci, bębni, sprawia taki dziki i ogłuszający hałas, że wszyscy djabli uciekliby z piekła, gdyby im kazano przy nim tańczyć. Nasze jednak panie i panowie pląsają w rozkosznem upojeniu, a ich zwarte pary mieszają swoje nogi tak zapamiętale, że bardzo często nie mogą odróżnić swoich od niewiast. Szał ten rozumiem i usprawiedliwiam. Bo ktoby dziś w tej naszej nędzy potrafił przez siedem nocy w tygodniu tańczyć przy dawnej melodyjnej muzyce walców, mazurów i polek? Ludzie zamiast cieszyć się, płakaliby, jazzband zapobiega rozrzewnieniu, pozwala zapomnieć o niedoborach, długach, głodach, o braku koszul zamienionych na jedwabne pończochy, mąki zamiemionej na puder, masła zamienionego na pomadkę do ust, opłat szkolnych, zamienionych na wydatki balowe — i tak dalej. Jest to więc taniec rozpaczy, „taniec szkieletów", którym już nie wystarcza dawna pod tą nazwą tworzona muzyka, potrzeba im takiej, przy jakiej doprowadzają się do szału koczownicy indyjscy i ludożercy malajscy. Śród tegorocznych balów, o których gazety zamieszczają tyle ogłoszeń, ile nekrologów i tyle spisów gospodarzów i gospodyń, ile list samobójców, na szczególną uwagę i uznanie zasługuje jeden—nn dochód komitetu do zwalczania raka. Takiego jeszcze nie było. Miejmy nadzieję, że ten przykład nie pozostanie bez naśladowców, że na przyszły rok będziemy jazzbandowali na badanie Marsa i plam słońca — lub co najpilniejsze — na leczenie „przmiotników". Ta pomysłowość nie ma granic, zwłaszcza że najważniejsze nasze wydatki społeczne zwykliśmy pokrywać nogami. Dlatego proponuję, ażeby w ten sposób załatwić nieszczęsną, od początku istnienia Polski odraczaną, w całym świecie cywilizowanym podtrzymującą nasz rozgłos sprawę dróg — krąży o nas w tym świecie kilka przysłów, ale najpowszechniejsze dotyczy naszych komunikacyj kołowych. Zaznaczyć muszę że opinja zagraniczna o nich jest jeszcze pochlebniejsze, niż nasze własne doświadczenia. Co pewien czas, jak czkawka, przypomina się nam ta niedola i sromota. Niedawno obradował w Warszawie „kongres drogowy", podobny z tytułu do szyldów fryzjezjerskich, zapraszających do „salonów męskich i damskich" w jednej brudnej, przepierzonej izbie. Ponieważ z uchwał tego kongresu będzie tyle pożytku, co z kłębów dymu przelatującej lokomotywy, więc nie będziemy się nad niemi zastanawiali. Były one niewątpliwie rozumne, dobrze pomyślane i celowe, ale odwołały się do tej siły twórczej, która wykonać ich ani nie zechce, ani nawet nie może— do rządu. Nigdzie na świecie nie zbudował dobrych dróg sam rząd bez chęci i bez współdziałania społeczeństwa. Ogromna większość naszego społeczeństwa nie żąda ich, nie występuje z inicjatywą i nie pomaga zaleconej. Kilku starostom, prawdziwym czarodziejom, udało się nakłonić sejmiki do bicia szos ale ogół chłopów, których udział w tych przedsiębiorstwach jest rozstrzygający, opiera się im — całą siłą. ciemnoty i nierozumienia własnej korzyści. Wolą łamać swoje wozy, zamęczać sprzężaj, marnotrawić czas, narażać się na niezliczone szkody, niż ofiarować nieuciążliwe składki i pomoc w robotach. Tego uporu nie przełamać, tego skąpstwa nie zwalczy najtroskliwszy rząd. To nie jest sprawa rządowa, ale społeczna. Jak ją dźwignąć? Kiedy to pytaniem zadałem jednemu ze starostów, odpowiedział: „Byłaby jedyna, ale niewykonalna rada — sprowadzić do nas Niemców. Oni w rok przecięliby cały kraj szosami". Okropne wyznanie. Gdyby nasze agitacje wyborcze miały istotnie na celu dobro narodu, a nie rachuby partyjne i osobiste, gdyby nie były rojeniem się trutniów politycznych, każdy poseł otrzymałby w swoim mandacie polecenie żądania poprawy dróg, które są wstydem kulturalnego narodu i wielkiego państwa.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

O PRACY GŁÓWNEGO URZĘDU MIAR

Z MINISTERJUM Przemysłu i Handlu otrzymujemy wyjaśnienie następujące:

W Nr. 26 „Myśli Narodowej" z ub. r. w artykule „Dla Nauki" znajduje się sprawozdanie z drugiego zjazdu naukowego, urządzonego przez Kasę im. Mianowskiego, opracowane na podstawie pamiętnika tego zjazdu. W artykule tym, zwróconym między innemi, przeciwko Głównemu Urzędowi Miar, jest powiedziane, że urząd ten zakupuje niepotrzebne przyrządy przy urządzaniu swoich pracowni, gdy tymczasem inne instytucje naukowe muszą ze względów budżetowych znacznie ograniczać swe zamierzenia. Takie zestawienie jest oczywiście oparte na nieporozumieniu i na nieznajomości organizacji i zakresu prac Głównego Urzędu Miar.

Urzędy Miar sprawdzają rocznie około dwóch miljonów narzędzi mierniczych. Czynności te, jakoteż i prace kierownicze,ześrodkowane w Głównym Urzędzie Miar, a polegające przedewszystkiem na krytycznej ocenie właściwości typów narzędzi mierniczych, które mogą być dopuszczane do legalizacji, jako oparte na podstawach naukowych, wymagają zastosowania znacznej ilości kosztownych przyrządów precyzyjnych. Jednak koszty sprawdzenia zwracają się całkowicie, w postaci dochodów urzędów miar, które nietylko nie obciążają budżetu Państwa, lecz, nawet po potrąceniu wydatków na inwestycje, dają jeszcze poważną przewyżkę dochodu, przechodzącą do Skarbu jako czysty zysk (w roku 1926 około 220.000 złotych). Z drugiej strony opłaty za czynności urzędów miar naogół są niższe od opłat za te same czynności w innych państwach.

Z powodu kwestjonowania z pewnej strony celowości inwestycyj Głównego Urzędu Miar pan Minister Przemysłu i Handlu na prośbę Dyrektora Urzędu zaprosił w miesiącu lutym ub. r. trzech profesorów wyższych uczelni, uczonych, których specjalności najbardziej zbliżają się do zakresu prac Głównego Urzędu Miar, do wydania opinji w tej sprawie. Po gruntownem zbadaniu inwentarza urzędu panowie ci orzekli, że nietylko zakupy są najzupełniej racjonalne, lecz inwentarz wymaga poważnych uzupełnień, aby urząd mógł upodobnić się do pokrewnych instytucyj zagranicznych i wypełnić zadania, do których został ustawowo powołany.

Tak więc Główny Urząd Miar dotychczas nie przekroczył swego zakresu działalności, który, jak wiadomo

z organizacji pokrewnych instytucyj zagranicą, jest rozległy. Praca naukowo-pomiarowa i metrologiczna może być wykonywana tylko w pracowniach należycie zaopatrzonych w najbardziej dokładne wzorce i przyrządy miernicze. Niema niestety najmniejszej obawy, aby jakakolwiek polska instytucja naukowo-techniczna cierpiała na nadmiar przyrządów i pracowni.

Nadmiernem obcinaniem wydatków Służby legalizacji narzędzi mierniczych można by uzyskać tylko tyle, iż zamienionoby ją na instytucję czysto fiskalną, ściągającą ukryty podatek od właścicieli narzędzi mierniczych, a nie dającą im wzamian żadnych świadczeń. Nauka polska natomiast niewątpliwie nicby na tem nie zyskała

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Artykuł bar Rheinbabena. — O stosunek do Niemiec. — Bierny bilans handlowy.

POLSKA Agencja Telegraficzna ogłosiła dn. 8 b.m. telegram z Berlina, donoszący, iż „na łamach oficjalnej korespondencji niemieckiej partji ludowej „*National Liberale Korrespondenz*“ jeden z bliskich współpracowników ministra Stresemanna, baron von Rheinbaben, zamieszcza obszerny artykuł w sprawie korytarza polskiego“ (Pomorza). Zdaniem barona von Rheinbabena „kwestja korytarza nie powinna nigdy schodzić z porządku dziennego. Ponieważ Niemcy nie są obecnie potęgą militarną, nie powinna powstać żadna wątpliwość co do tego, że polityka niemiecka dąży do zmiany obecnych stosunków na granicy wschodniej jedynie w drodze pokojowej“. Artykuł kończy się następującą konkluzją: „Naprzód rewizja granic, a łącznie z tem zniesienie korytarza, potem dopiero ostateczna i dobrowolna zgoda Niemiec na zabezpieczenie granic wschodnich, ewentualnie w postaci zagwarantowania granicy niemiecko-polskiej“.

Stwierdzić należy z naciskiem, że artykuł powyższy ukazał się w oficjalnym organie stronnictwa, którego przywódcą jest nie kto inny, jak właśnie minister spraw zagranicznych Rzeszy Niemieckiej, dr. Stresemann. Autor wspomnianego artykułu, baron von Rheinbaben, jest, — jak określa P.A.T. — jednym „z bliskich współpracowników ministra“. Cóż dodać dla oświetlenia tych faktów? Chyba tylko godzi się przypomnieć uprzejmy i pełen pogody pogląd ministra spraw zagranicznych i czołowego kandydata do Senatu z listy Bezpartyjnego Bloku współpracy z Rządem, p. Augusta Zaleskiego, który jak stwierdził w przemówieniu, wygłoszonem dn. 9 z. m. na bankiecie „Towarzystwa Badań Międzynarodowch“, zauważył, „sporo dowodów dobrej woli... ze strony kierownictwa niemieckiej polityki zagranicznej“...

W artykule wstępnym niniejszego zeszytu „Myśli“ sprawa aktualnego podziału na obozy polityczne w Polsce i toczącej się obecnie walki wyborczej przedstawiona została w sposób pogłębiony, z uwzględnieniem wzajemnego stosunku Polski i jej zagranicznych sąsiadów. Rzeczywiście, trudno nie zwrócić uwagi na fakt, że dzisiaj jeszcze podział na poszczególne grupy dokonywa się według zasadniczych orjentacyj z lat wielkiej wojny, że w obozie, zwalczającym listę katolicko-narodową Nr. 24, zgromadzili się ci wszyscy, co nie doceniali i nie doceniają dotychczas grozy niebezpieczeństwa niemieckiego. Kandydatura z listy Nr. 1 w Warszawie b. członka Rady Regencyjnej, ks. Zdzisława Lubomirskiego nabiera wprost znaczenia symbolu.

Warto przypomnieć zdanie z „Polityki zagranicznej“ Z. Berezowskiego („Wskazania programowe Obozu Wielkiej Polski“ zeszyt 6): „Naród który dopuszcza do tego, że polityka wewnętrzna idzie wbrew jego opinji jest niedojrzałym albo źle zorganizowanym narodem; naród zaś któryby pozwolił na przeciwną swej woli politykę zewnętrzną przestałby być narodem“.

Na konferencji prasowej dn. 9 b. m. p. minister przemysłu i handlu Kwiatkowski zapowiedział, iż „nasz bilans handlowy pozostanie jeszcze na dłuższy okres czasu pod znakiem ujemności“. Jest to zapowiedź w najwyższym stopniu niepokojąca. Słusznie pisał niedawno znakomity ekonomista prof. Stanisław Grabski („Gazeta Warszawska“ Nr. 38 z dn. 7 b. m.):

„... bierny bilans handlowy... u nas... zmniejsza ilość znajdujących się w kraju pieniędzy, powstrzymuje nagromadzenia się oszczędności, kurczy kredyt—a wreszcie podnosi kurs obcych walut w stosunku do własnej naszej waluty i przez to deprecjonuje istniejące w kraju kapitały.

Ratunkiem na to mają być pożyczki zagraniczne.

Gdyby pożyczki te doprowadziły do aktywności naszego bilansu handlowego — byłyby one rzeczywiście ratunkiem.

Ale jeśli mimo nich bilans handlowy pozostanie bierny — płacone od pożyczek tych procenty pogorszą jeszcze bardziej nam bilans płatniczy. I znów po pewnym czasie trzeba będzie ratować się nową pożyczką, aż do ewentualnej utraty samodzielności gospodarczej, bez której niema dziś również politycznej niezależności“.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

JUBILEUSZOWY DAR PROF. A. BRÜCKNERA

SKROMNYM, szybko przebrzmiałym jubileuszem uczciła ubiegłego roku Polska siedemdziesięcio-lecie urodzin Aleksandra Brücknera (ur. 1856), najbardziej zasłużonego dziś pracownika z pośród polskich historyków literatury, znakomitego slawisty, profesora tego przedmiotu na uniwersytecie berlińskim, autora kilkudziesięciu (poza setkami drobniejszych rozpraw po czasopismach) pierwszorzędnej wartości prac z historji polskiej i pobratymczych słowiańskich literatur, nieporównanego znawcy mitologji, folkloru, prądów religijnych i wogóle dziejów kultury polskiej, jednem słowem wszechstronnie wykształconego uczonego i umysłem żywym, bystrym, odkrywczym obdarzonego badacza.

Zdobywszy w dwudziestym roku doktorat filozofji, zaczął Brückner ogłaszać swe pierwsze prace naukowe (od r. 1877, a więc równo 50 lat temu), poświęcając się równocześnie działalności wychowaczej, zrazu jako docent w Wiedniu i Lwowie, następnie od r. 1880, a więc w dwudziestym czwartym roku życia, jako profesor slawistyki na uniwersytecie w Berlinie, gdzie po dziś dzień pozostaje. Pięćdziesiąt lat pracy naukowej, czterdzieści parę lat działalności profesorskiej, okres to istotnie imponujący, nic też dziwnego, iż przy znanej ruchliwości umysłu oraz intesywności wysiłku twórczego, mógł dać równie imponujący plon w dorobku uczonego i profesora.

Zaczął prof. Brückner od badań językoznawczych, ogłaszając w tym zakresie, obok szeregu drobniejszych, w języku niemieckim i polskim rozpraw, takie interesujące prace jak „Cywilizacja i język“, „Z dziejów języka pol.“, „Dzieje języka pol.“ i wreszcie „Walka o język“, w których on pierwszy przez powiązanie zagadnień lingwistycznych z zagadnieniami historji kultury oraz przez przystępny wykład pokazał, jak można najpoważniejsze tematy naukowe traktować w zajmujący sposób, zdobywając tem samem dla sfery czysto fachowych badań zainteresowanie wśród najszerszych kół czytelniczych.

Największe atoli, wprost rewelacyjnego znaczenia zasługi położył Brücker w dziedzinie badań nad zabytkami staropolskiego piśmiennictwa, szczególnie z epoki średniowiecza i wieku siedemnastego, a więc naogół najmniej dotąd znanych czasów. Kierowany swym odkrywczym instynktem sięgnął Brückner do zaniedbanych przez dotychczasowych historyków literatury zbiorów rękopiśmiennych w bibljotekach polskich i zagranicznych i wydobył stamtąd znaczną ilość nieznanych dotąd wcale albo tylko mało znanych zabytków piśmiennictwa, przez ich ogłoszenie i objaśnienie rzucając nieraz zupełnie nowe światło na pewne okresy naszej literatury. Pod tym względem Chmielowski przyznał wprost Brücknerowi, iż on „jeden w ciągu kilku lat wzbogacił wiedzę naszą o zabytkach rękopiśmiennych więcej, aniżeli inni badacze razem wzięci." Takie odkrycia Brücknera, jak wyszperanie w okładce kazań łacińskich, pociętych na paski fragmentów „kazań świętokrzyskich", tego najstarszego pomnika prozy polskiej, jak odnalezienie pierwszego świeckiego poematu Słoty (czy Złoty) o zachowaniu się przy stole, niezwykle ciekawego jako dokument obyczajowy w obrazie prymitywnej, staropolskiej salonowości, jak wydobycie z pyłu archiwów całych zbiorów pieśni religijnych, legend, kazań, listów miłosnych; jak wreszcie (pomijając badania nad Rejem, Kochanowskim czy Sępem Szarzyńskim) w zakresie siedemnastowiecza odnalezienie przebogatej, nieznanej dotąd spuścizny W. Potockiego, rokoszańskich pism politycznych, dowcipów sowizdrzalskich, starych intermedjów, pierwszych powieści itd. itd. wszystko to, poparte wyczerpującemi objaśnieniami, uwagami, trafnemi hypotezami, syntetycznemi charakterystykami okresów, środowisk, pisarzy — wywarło tak znamienny wpływ na stan polskich badań historyczno-literackich, szczególnie dotyczących medjawistyki i siedemnastowiecza, iż wszelkie poprzednie z tego zakresu prace albo okazały się wręcz przestarzałemi, albo wyrażone w nich poglądy musiały ulec gruntownej rewizji.

Zebrawszy wreszcie, w ciągu wieloletnich, samodzielnych studjów, cały ogrom fachowej wiedzy, przystąpił Brückner do jej syntetycznego ujęcia w pierwszych u nas, całokształt rozwoju od najdawniejszych czasów aż do doby bieżącej obejmujących „Dziejach literatury polskiej". Drugą taką syntetyczną pracą ma być tak bardzo oczekiwana „Historja kultury polskiej", do której napisania mało kto z pośród żyjących uczonych polskich jest bardziej jak Bruckner powołany.

Że zaś po zasłużonym badaczu, który mimo sędziwego wieku, niestrudzenie pracy swej się oddaje, wiele jeszcze spodziewać się możemy, tego dowodem ofiarowany nam na jubileusz olbrzymi „Słownik etymologiczny języka polskiego" (Kraków 1927. Nakład Krak. Spółki Wydawniczej), przynoszący omówienie znaczenia i pochodzenia czterech tysięcy słów polskich (z uprzywilejowaniem dawniejszego, a z wykluczeniem nowoczesnego technicznego, sportowego, publicystycznego i t. p. słownictwa). Dzieło to naprawdę niezwykłe! Już przez to samo, że jest owocem wysiłku jednostki, podczas gdy w normalnych warunkach nad wykonaniem czegoś podobnego ślęczy latami cały sztab ukwalifikowanych współpracowników. Jednakże bardziej jeszcze, niż rozmiarami, zadziwia nas to dzieło swą treścią. Zaiste nieledwie cudu dokonał tu autor, czyniąc swój słownik prawdziwie zajmującą, niczem najczarowniejszy romans, lekturą. A dokonał Bruckner tego cudu dzięki temu, że podobnie jak już w swych pierwszych pracach językoznawczych, tak i tu przesunął punkt ciężkości od problematów czysto językowych ku zagadnieniom historyczno-kulturalnym, przez co rozpatrywanie materjału językowego przestało u niego być samoistnym celem, stając się tylko środkiem do wyświetlania zjawisk z innych dziedzin życia, a przedewszystkiem z dziedziny historji obyczajów i kultury. Z tych to założeń wyszedł Brückner przy układaniu „Słownika etymologicznego", z góry pracę swoją przeznaczając nie dla szczupłej garści fachowych specjalistów, lecz dla jaknajszerszych sfer wykształconego ogółu. Stąd też unikając wszelkiego balastu bibljografji, cytatów i polemik oraz nudnych wyliczań, starał się autor poza oznaczeniem wieku danego słowa, jako znaczenia i pochodzenia, głównie o podkreślenie roli, jaka mu w dziejach języka i kultury przypadła. Według Brücknera „w słownictwie wyrażają się dzieje obyczajowości narodowej, wstecz aż do czasów, do których żadne świadectwa pisemne nie docierają. Z każdej doby rozwojowej, rodzimej czy pozostającej pod obcym wpływem, ocalały w słownictwie ślady — osady, a w nich wprawne oko wyczyta, o czem dzieje milczą; słownictwo zastępuje kroniki, a uzupełnia archeologję". W związku z takim poglądem na sprawę i uznaniem słowa za dokument nie tylko językowy, ale także obyczajowy, praca Brücknera nabrała specjalnego charakteru, z suchego rejestru słów przemieniając się w istną encyklopedję kultury polskiej. Objaśnienia niektórych wyrazów rozrosły się tutaj w formalne rozprawki z dziejów obyczajowości polskiej, traktujące jak np.. o bóstwach, kalendarzu, myślistwie, pokrewieństwie, faunie i florze, imiennictwie osobowem, ubiorach, zbroi, zwyczajach ludowych i t. p. W tej formie „Słownik etymologiczny" może być nietylko nieodzownym dla każdego miłośnika języka ojczystego „poradnikiem językowym", jak sobie tego autor życzył, lecz także nadzwyczaj zajmującą lekturę dla historyka, nauczyciela-polonisty, literata, czy wogóle dla każdego wykształconego Polaka. Pomnikowe to dzieło, owoc prawdziwie klasztornej pracowitości i zadziwiającej wprost erudycji, niezależnie od swej naukowej wartości winno zdobyć również niepospolite praktyczne znaczenie, stając się nieodstępnym doradcą tych wszystkich, którzy słowem jako materjałem się posługując, obowiązani są dążyć do oczyszczenia i wzbogacenia mowy ojczystej.

Kiedy w r. 1811 Samuel Bogumił Linde krzątał się koło wydania czwartego tomu swego „Słownika", a szukając poparcia zwrócił się o nie do Ministrta Spraw Wewn., tenże „nie chcąc dopuścić, aby przez niedostatek funduszów przerwane było dzieło, które stanowić będzie epokę w języku i literaturze krajowej" w odręcznem rozporządzeniu polecił wszystkim prefektom „aby z funduszu *ad materialia*, lub *extraordinaria* prenumerowali każdy po jednym egzemplarzu". Podobnie do zakupna tego dzieła zachęcał ówczesny minister skarbu podwładnych sobie urzędników. A dziś?

RAJMUND BERGEL

TON POETYCKI

POEZJA jest jak dzwon. Główną w niej rzeczą — ton. Może to być dzwon kościelny, śpiżowy, dzwon Zygmuntowski o potężnym głosie i dalekim zasięgu, może być sygnaturka klasztorna, może być dzwonek maleńki od sań zaprzęgu, byle miał ton czysty, muzyczny.

Rozpleniona w Polsce po wojnie światowej poezja kryptożydowska, polskiemi słowami, lecz nie polską mową pisana, roznosi po kraju utwory, jak garnki rozbite, gliniane i metalowe naczynia różnych przeznaczeń o dźwięku, raczej o skrzeku schrypniętym, krzykliwym i płaskim, kakofonji pełnym. Odpowiednie do tonu są jej kierunki: kloakizm, pisuaryzm, porkografja, koprofagja, nekroforyzm, gnojność, łojność i rojność (plazmatyzm) — oto główne jej znamiona: Jedną ma ta poezja niewątpliwą

zasługę, że odsłoniła przed światem duszę żydowską w całej jej nagości.

Garść Polaków, która zabłąkała się w tym żydowskim ostępie (przez u), zmarnowała się. Nawet żywsze talenty, choć oparły się cynizmom i obrzydliwościom judaizmu, straciły ton—bodaj że nazawsze. Przykładem są ostatnie tomiki: p. K. Wierzyńskiego „Laur olimpijski" i p. St. Balińskiego „Wieczór na Wschodzie". To już jest upadek. Robota sztuczna, wysilona, zupełny brak ducha i podkładu filozoficznego, nieobecność sfery uczuciowej, mizerna buduarowo-sportowo-geograficzna pseudowrażliwość, blada, za włosy ciągniona plastyka, oraz zgubioną ścieżka do prostoty—tego najwyższego szczytu sztuki... te są w krótkości wyliczone cechy obu tomików. „Stracony ślad!", jak-to się mówi w „Księgach Puszczy" Kiplinga.

Natomiast grupa poetów polskich, choć formalnie ze sobą nie związana, która trzymała się i trzyma zdala od gheta kryptożydowskiego, idzie naprzód, rozwija się, pogłębia ton, wstępuje coraz wyżej. Do niej, z wybitniejszych poetów, należą np. E, Zegadłowicz, St. Miłaszewski, A. Gałuszka i M. H. Szpyrkówna. Tak różne losy obu odłamów powojennej poezji polskiej wymownie świadczą o nikczemnym wpływie ducha żydowskiego na młode dusze poetów. Jest nadzieja, że i najmłodsi poeci nasi, mając na starszem pokoleniu tak niedwuznaczne doświadczenie, od pierwszych kroków swych będą wiedzieli, z kim wdawać się nie należy.

Mam przed sobą tom p. t. „Poezje" p. M. H. Szpyrkówny, wydany przez F. Hoesicka z datą roku 1927. Przeczytałem go i przestudjowałem z radością. Tu jest ton! Ton czysty, głęboki. Tu jest duch. Duch czysty, czynny, twórczy, pracą myśli i serca zajęty i przejęty. Tu jest świętość życia, samodzielność w pochodzie życia, a jednocześnie głębokie więzie tradycji poezji polskiej—szlachetne i górne. Tu jest prostota, a jeśli jeszcze nie jej szczyt, to stroma, uparta, strzelista ścieżka do prostoty. Tu jest prawdziwa poezja, a jeśli tu i owdzie są odchylenia, nawet wyraźnie pod wpływem „nowej" reklamowej pseudo-poezji poczynione odchylenia, to bardzo nieliczne, a zresztą ogniem własnej twórczości tak przetopione, że czyste.

Do odchyleń tych należą dwa niewielkie cykle maleńkich, cztero-i sześciowierszowych utworków pod tytułami ogólnemi: „Una piccola favola" i „Una tragoedia". Myślę, że to nie przypadek, lecz bezwiedna wskazówka obcości—te dwa obce tytuły właśnie dwóch cyklów najsłabszych. Można je nazwać pidżamowo-hotelowo-groteskowemi zamiarami na psychologje, przeżycia i tragedje Erosa. Zresztą i tu trafiają się ostre rysy lwich pazurów. Tu pantera duszy rzuca się niecierpliwie w klatce mody i snobizmu. To znak, że długo w niej nie pobędzie.

Właściwym światem poetki są takie cykle przeważnie szesnastowierszowych utworów trzynastozgłoskowych, jak „Relikwiarzyk", „Rozważania", „Nad wiekami" i „Kraj lat dziecinnych". To są poezje wprost z duszy wydarte, żywe krwią serdeczną, wzruszające, muzyczne, obrazowe, świeże i proste. Jakże porywający tęsknotą szczerą jest wstęp do jednego z tych cyklów, wierszyk p. t. „Na Białorusi"! Jak piękne w realizmie i syntetycznem życia ujęciu, jak plastyczne, malownicze i odważne są takie obrazki, jak „Zaścianek", „Panowie bracia" i „Dworek w Mohylowszczyźnie"! Oto czem jest prawdziwa poezja: związkiem serca z myślą, plastyki zmysłowej z duchem, religji z filozofją. Taką jest ona w utworach panny Szpyrkówny.

Prześliczny jest cykl p. t. „Relikwiarzyk" — dziewięć utworów z prologiem i epilogiem, opiewających dzieje dziecka i podlotka. W nim utwór p. t. „Matka"—jeden z najprostszych i najgłębszych. W cyklach pod tytułami „Rozważania" i „Nad wiekami" poetka filozofuje plastyką poetycką, przeniknięta żywemi uczuciami serca walczącego z tajemnicami życia i zagadnieniami bytu.

Są w tych pracach dość liczne jeszcze niedościągnięcia i błędy techniczne. Potoczystość wymowy często w nich uwodzi artystkę i źle wpływa na budowę i rysunek utworów. Nawet „kuchnia" (że tak się wyrażę) poetycka, a więc słowo, zdanie, okres, wogóle — język i styl zamało opanowane, niewytrzebione z nałogów różnych, skrótów niemiłych (jak np. „do cię", „me", „na cię", „twe" i t. p.), powtarzań słowa „jakieś" i „gdzieś"—owych powszechnych a czczych tamponów na rytmiczne luki... Ale to wszystko przy pewnym nakładzie uwagi i pracy szybko artystka usunie. Główna rzecz—ton. Ton czysty, górny, szlachetny i szczery. I myśl filozoficzna, która, wierzę, nie pozwoli nadal poetce na poniżanie talentu jej do mód panujących w rodzaju licznych dziś poetek typu dancingowego. Ta myśl przepięknie wyrażona w utworze p, t. „O wielkim Budowniczym" łączy się harmonijnie ze znajomością bezpośrednią przyrody, z wiedzą o niej naukową i z jej, pełnem artyzmu ukochaniem. Wszystko to daje wielkie rękojmie na przyszłość poetki.

Szpyrkówna idzie drogą własną, ale drogą, której początki tkwią w Kochanowskim i w romantyzmie polskim, szczególnie w Mickiewiczu. To jest tradycja, której nie zdołają zatruć robaczywe zęby poezji kryptożydowskiej. Tą tradycją silna poetka pierwszym swoim tomem poezji odrazu wybiła się na najprzedniejsze miejsce współczesnej twórczości polskiej. Jeżeli zdoła w poszukiwaniach swych filozoficznych otrząsnąć się całkowicie z transcedentnego judaizmu — tej odwiecznej zmory, poezji europejskiej—to otworzy ciężkie, śpiżowe wrota, za któremi oczekuje nas nowa, rasowo do najgłębszych den własna poezja aryjska.

ST. PIEŃKOWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem księgarni F. Hoesicka ukazał się polski przekład wykładu Benita Mussoliniego p.t. „Rzym starożytny na morzu", wygłoszonego w październiku r. 1926 na inauguracji italskiego Uniwersytetu dla cudzoziemców w Perugji. Mussolini daje niezwykle wyrazisty, na głębokiej wiedzy historycznej oparty obraz wytrwałego wysiłku, który Rzym starożytny, po wieloletnich zmaganiach z Kartaginą, uczynił panem całego morza Śródziemnego. Książka wydana została gustownie, na dobrym papierze, ozdobiona portretem Mussoliniego oraz *fac simile* jego autografu. Przekład p. Fr. Szyfmanówny bezbarwny, niekiedy nawet nie zupełnie, jeśli chodzi o polszczyznę, poprawny.

*

Dr. Aleksander Grabiański ogłosił broszurę p.t. „Z zagadnień polityki Europy Wschodniej", na którą złożyły się dwie rozprawki: „Spór o Albanję" oraz „Wenecja i wschodni Adrjatyk". Poglądy autora, zwłaszcza jeśli chodzi o dodatnią ocenę dzisiejszej polityki włoskiej w Albanji, są naogół słuszne i przekonywujące. Tembardziej razi niechętny, polemiczny ton w stosunku do Jugosławji, wywołujący wrażenie, że p. Grabiański jest właściwie raczej adwokatem jednej strony sporu, niż publicystą, objektywnie przedstawiającym rzeczywisty stan rzeczy. Pozatem nie zaszkodziłaby p. Grabiańskiemu większa dbałość o poprawność polszczyzny, którą kaleczy niemiłosiernie.

*

Koło Polonistów studentów uniwersytetu warszawskiego ogłosiło własnym nakładem nader pożyteczną broszurę prof. Stanisława Szobera p.t. „Jak studjować język polski w uniwersytecie". Prof. Szober podaje starannie przemyślany plan nauki na lat cztery oraz odpowiednio ułożoną bibljografję dzieł naukowych, które należy przestudjować. Dobrze byłoby, gdyby za przykładem prof. Szobera podobne broszury wydali także inni profesorowie wyższych uczelni w zakresie swych specjalności.

U SŁOWIAN

We Lwowie powstaje czasopismo „Ruch Słowiański". Na czele stanął komitet redakcyjny, do którego wchodzą: Tadeusz Lehr-Spławiński (naczelny redaktor), Wład. T. Wisłocki, Jan Br. Richter, H. Batowski, Adam Fiszer, Br. Laskownicki, Roman Leszczyński, Stefan Mękarski. Charakter „Ruchu Słowiańskiego" ma być apolityczny, ściśle rzeczowy, głównie informacyjny. Pismo ma być miesięcznikiem.

Redakcja nawiązuje już kontakt z wybitnymi pracownikami w dziedzinie nauk, sztuk, literatury i t.d., interesującymi się Słowiańszczyzną.

*

Bułgarzy znów sławili setną rocznicę urodzin jednego ze swych „budzicieli narodu" pierwszego poety P. R. Sławejkowa (1827 — 1895). Petko Raczow Sławejkow przypominał żyjącemu pod jarzmem tureckiem narodowi, że jest narodem bułgarskim, w wierszach swych przedstawiając mistrzowsko charakterystyczne cechy psychy narodowej. Popularność jego była olbrzymia. Sławejkow działał również jako polityk, po oswobodzeniu Bułgarji był posłem i ministrem, redagował również polityczny tygodnik *„Makedonija"*. Największy rozgłos zdobył sobie satyrycznem czasopismem *„Gajdu"*, wydawanem w Carogrodzie. — Dziewięćdziesiąt zaś lat upłynęło w r. 1927 od urodzin poety-rewolucjonisty, Lubena Karawełowa (1837—1879), dla którego twórczość literacka była tylko środkiem dla agitacji politycznej za oswobodzeniem narodu, ale także i za federacją Słowian południowych.

*

Praski półoficjalny organ ministerstwa spraw zagr. *„Prager Presse"* w codziennej swej kulturalnej rubryce poświęca baczną uwagę wszelkim przejawom polskiego życia kulturalnego. W ciągu siedmiu lat istnienia dziennika zamieszcz no w nim czterysta kilkadziesiąt artykułów i notatek o polskiej nauce, literaturze, teatrze i sztukach plastycznych. Nadto może się *Prager Presse* pochlubić dwoma numerami w całości Polsce poświęconemi. Prerwszy z nich wyszedł jeszcze w r. 1925, drugi w dniu 11 grudnia 1927 p. t. „Polska a Czechosłowacja—zagadnienia i drogi współpracy". Po autografie prezydenta Mościckiego zajdujemy tam artykuły polityczne: min. Bartla, min. Benesza, posła polskiego w Pradze Grzybowskiego i posła czechosł. w Warszawie Girsy. Wszystkie te artykuły podkreślają zgodnie, że oba narody mają obecnie przed sobą drogę do stałej serdecznej współpracy, w której i względy pokrewieństwa plemiennego grać będą naturalną rolę. Artykuły kulturalnego działu omawiają związki w dziedzinie literatury (J. Birkenmajer, A. Novak), teatru (M. Szyjkowski), nauk ścisłych (V. Dvorsky, I. Horak), prasy (Svichowsky) i w. in. Bogaty również i zajmujący jest dział gospodarczy z artykułem min. Czechowicza na czele. Ten polski (32 stronnicowy) numer *„Prager Press"* jest na polu przedsięwzięć prasowych, informujących o Polsce czemś niezmiernie doniosłem. Za wydanie jego należy się z naszej strony uznanie i wdzięczność red. A. St. Magrowi, który prowadzi polski dział pisma od jego powstania, a tego polskiego numeru *maxima pars fuit*.

LITERATURA ZAGRANICZNA

Księgarnia Hachette'u wydała świeżą książkę M. Pernot *„L'Allemagne d'aujourd'hui"* (Niemcy dzisiejsze) (Str. 200), która powinna zainteresować czytelnika polskiego. Autor znany z licznych prac omawiających stosunki w Europie powojennej (dość tu wspomnieć jego *„L'epreuve de la Pologue"* i t.p.), jest mistrzem „ankiety", obserwatorem bystrym i skrupulatnym, a przytem jest pisarzem utalentowanym, żywo przedstawiającym rzeczy widziane i zbadane.

W ostatniej książce swojej, poświęconej Niemcom dzisiejszym, daje trafny obraz życia rozmaitych krajów Reichu (Prus, Saksonji, Nadrenji i t.p.), jego rozmaitych klas i grup, zaczynając od urzędników—kończąc na robotnikach.

Mówi nadto o stanie moralnym i społecznym Niemiec dzisiejszych, o ewolucji stronnictw politycznych, a także o polityce zewnętrznej. Zdaniem autora gdy chodzi o politykę zewnętrzna, Niemcy dzisiejsze Stresemanowskie realizują uporczywie program hr. Bernstorffa, postawiony w Berlinie 1919 r. na kongresie demokratycznym; streszcza się on w punktach następujących: przyjąć „nieznośny i niewykonalny" traktat Wersalski, dążyć wszakże bez wytchnienia do jego rewizji; wejść do Ligi Narodów, żeby zmienić jej ducha oraz działalność w myśl interesów niemieckich; nawiązać stosunki ekonomiczne z Rosją, Austrją i Francją; domagać się i doprowadzić do ewakuacji Nadrenji, odzyskania korytarza gdańskiego i naprawy granicy wschodniej i t.p.

W ostatnim rozdziale zajmuje się autor sprawą stosunków Niemiec dzisiejszych z Francja oraz możliwością zbliżenia przyszłego pomiędzy niemi. Doradza wprawdzie ostrożność, wierzy jednak w możliwość zbliżenia na terenie ekonomicznym.

Autor jest zdania, że należy tymczasem oddzielić ekonomję od polityki, ustalić naprzód pomiędzy dwoma krajami normalne stosunki w dziedzinie ekonomicznej, zawrzeć traktat handlowy, zupełny i trwały. Gdy chodzi o uregulowanie stosunków politycznych—to trzeba czekać.

*

Ostatni zeszłoroczny zeszyt miesięcznika *„Educazione Fascista"* zawiera między innemi doskonałą charakterystykę Franciszka Crispi'ego jako polityka, pióra prof. S. Volpi'ego, i niezmiernie interesującą rozprawą R. Michels'a „Walka pomiędzy dwoma Amerykami w Stanach Zjednoczonych", gdzie autor mówi o tem jak typowi anglo saskiemu przeciwstawia się typ nowego amerykanina, wytwarzającego się w środowiskach etnicznie różnych, typ antytradycjonalisty, wnoszący w życie fermenty intelektualne i duchowe krańcowo—indywidualistyczne. Znajduje to swój wyraz w literaturze pięknej (Sinclair Lewis i inni, przeważnie żydzi). Wśród sprawozdań umieszczono recenzję wybornej książki prof. C. Capasso *„La Polonia e la guerra"* wydanej w roku ubiegłym przez rzymski *„Istituto per l' Europa Orientale"*. Recenzent podnosi wysoko wartość tego dzieła, opartego na gruntownej znajomości dokumentów i źródeł polskich i obcych, pisanego z głębokiem wniknięciem w istotę procesu dziejowego wskrzeszenia państwa Polskiego, w wyniku wielkiej wojny.

TEATR

NOWE SZTUKI ST. KIEDRZYŃSKIEGO

Żeby zdać sprawę z wystawionej w teatrze Małym komedji Stefana Kiedrzyńskiego „Powrót do grzechu", trzeba wpierw opowiedzieć treść fabuły.

Dr. Hubert, lekarz prowincjonalny, człowiek leciwy ożenił się w Warszawie z młodą osobą, ale po paru miesiącach pożycia w małem miasteczku zmuszony był puścić żonę na wolność. Wynikły przytem zawikłania, on sam bowiem i opinja małomiejska przypuszczali, że doktorowa wyrywa się do fotografa, który mieszkał na wyższem piętrze i wzdychał do niej. Fotograf okazał się w tej sprawie bohaterem, z zaparciem bowiem potrzeb swego serca pomógł ukochanej wrócić we właściwe ręce. Mianowicie doktorowa wyrywała się z więzów małżeństwa do swego „narzeczonego", jak go nam autor przedstawił. Był to, jak się pokazało, łobuz warszawski, z którym bohaterka żyła przed tem parę lat na wiarę.

Cała historja kończy się w atmosferze ogólnej sympatji dla młodej i dobranej pary, nie przyrzekającej sobie, że wezmą ślub. Sympatję tę autor narzuca także publiczności, traktując narzeczoną mężatkę jak panienkę fredrowską na wydaniu. Błogosławi im porzuc ony mąż nawet bohaterski fotograf, podścielający swój los osobisty pod nogi młodej i dobranej parze.

Najmniej zręczna w tem wszystkiem rola jast widza. Oszołomiony suggestją autora dopiero na wychodnem zastanawia się, że przecież nie posiada żadnej rękojmi, iż ten łajdaczyna, któremu z taką satysfakcją oddaliśmy miłą Anielę (grała p. Malicka), nie sprzeda tej kobiety do Brazylji. Wogóle bylibyśmy jej tak radośnie nie oddawali, gdybyśmy nie dowiadywali się prawdy o bohaterach tak późno. Właściwie ekspozycja była na końcu. Dowiedzieliśmy się dopiero w drugim akcie, że ów łajdak, którego autor nazywał narzeczonym, porzucił kochankę, żeby się ożenić z inną (starą) dla pieniędzy. Na końcu dopiero widz się dowiedział, że pani Aniela, wprowadzona przez autora jako dystyngowana i miła kobieta z towarzystwa, nie jest znowu w położeniu zbyt dramatycznem. Bo gdyby „narzeczony" nie wziął jej z powrotem, to ona przyjmie ofertę, już dawniej jej robioną przez pewnego przemysłowca i pójdzie do niego na utrzymanie. Dawał jej 5.000 zł. miesięcznie, a teraz pewno da ze 2.000 zł. Ta pogróżka podziałała na „narzeczonego", który odrazu skalkulował, jaki interes robi, biorąc kobietę darmo.

Gdyby nie skończyło się na akcie trzecim, dowiedzielibyśmy się pewno jeszcze ładniejszych rzeczy, któ-

rych nie przeczuwaliśmy do połowy sztuki. Ze strony autora były to informacje, tyczące raczej kolorytu obyczajowego, nie sięgające w głąb dramatyczną. Wogóle autor Kiedrzyński tak poprowadził sztukę, żeby ona wyminęła wszelkie problemy dramatyczne, co jak na sztukę dramatyczną — trzeba przyznać — jest nielada sztuką.

Zagadnieniem bardzo dramatycznem mógł się widzowi od początku wydawać los męża, który kochał, świat swój w ukochanej złożył, a ta go rzuca. Mógł się czuć nie tylko nieszczęśliwym, ale nadomiar ośmieszonym; cała sala co chwila się śmieje. Nic podobnego — mądry lekarz wyjaśnia nam pod koniec aktu trzeciego, że nie robi z tego dramatu dla tego, że właściwie on i tak żony fizycznie nie posiadł. Przeliczył się z siłami jako mężczyzna.

Autorowi udało się dla tego uniknąć zadzierzgnięcia jakiegokolwiek węzła dramatycznego, że poprowadził miłość — jak się to mówi — w płaszczyźnie fizycznej.

Miłość! Pokażcie taką możliwość dramaturgowi warszawskiemu. Nie daj Boże, dodacie: dusza, człowiek! W to mu graj, to właśnie dla niego *tabula rasa*, czysta karta, na której najlepiej pisać krotochwilę. Co najwyżej będzie to dla niego „znak wodny" w papierze. Cały szyk — pisać na takiem papierze. Cała cywilizacja pracowała na ten dla niego świstek.

Talent Kiedrzyńskiego polega na tem, że nie potrzebuje do napisania komedji takich elementów, jak człowiek z duszą, albo miłość prawdziwa, bez których komedjopisarze dotąd nie umieli sobie radzić. Tem bardziej nie wprawiają go w kłopot instytucje społeczne lub religijne z odpowiednią w duszach psychiką. Dawniej starszy pan, żeniący się z młodą osobą, legitymował się miłością, a potem bronił związku jako instytucji, mówił o rodzinie, miał skrupuły moralne i społeczne, gdy wypadło się rozwieść. Tutaj nic z tego. Ślub, który zawarto — to znowu znak wodny, jakby go nie było. W równaniach, które Kiedrzyński rozwiązuje, nie gra ta okoliczność żadnej roli. Zdawałoby się, że żona to jakaś pozycja w duszy męża. Bynajmniej, mąż mówi o niej z byle fotografem jak o sprzęcie, który okazał się nieużytecznym w domu. Odda go chętnie, tylko mu przykro, że go chce posiąść jakiś fotograf. Co innego ten z Warszawy narzeczony — ten się przynajmniej zna na kobietach. Nie każdy chętnie sprzeda byle komu ładny mebel. Kobieta u Kiedrzyńskiego ma swój kurs swoisty jako samica niezależnie od stopy towarzyskiej i stanu cywilnego i osobistej moralności płciowej. Te też niewiadomo widzowi, skąd się wziął w sztuce tytuł: Powrót do „grzechu". W sztuce niema zupełnie tej kwalifikacji. Jakiego grzechu? Z woli autora wszyscy w sztuce do tego powrotu pomagają i zaręczynom mężatki błogosławią, jak u Fredry, gdy się zaręcza Klara lub Aniela. Fotograf popełnia bodaj większy grzech, żeniąc się pomimo wstrętu, ale autor tego nie spostrzega.

Nie trafi tu nikt w sedno, ktoby mierzył rzeczy miarą uczuć ludzkich idealistycznych. Autor płaci za wszystko walutą materjalną. Wszystkie liryczne momenty w życiu fotografa mają punkt kulminacyjny w jego pugilaresie. Wiedząc coś o tradycjach zmysłu moralnego, że bohaterstwo zasługuje na nagrodę, autor wynagradza fotografa, dając mu za żonę zamożną właścicielkę hotelu. Co prawda nie może na nią patrzeć, tak jej nie lubi, bądź co bądź wygrywa szczęsny los. Bo cóż miłość... Przecież i w doktorowej fotograf nie tyle się kocha, ile jej pragnie fizycznie. Jak przystało na ludzi przyzwoitych, doktorowa gdy już interes ubito, podziękowała fotografowi za ofiarę, płacąc mu pocałunkiem, ale on sobie wytargował jeszcze kilka. Dobre i to. Dawniej uważanoby taki finał ofiary za zbyt płaski.

Krytyka niemal jednogłośnie pochwala talent Kiedrzyńskiego. Istotnie trzeba mieć talent, żeby tak upostaciować w sztuce życie, aby komizm wykwitał na ruinie ustalonych pojęć o człowieku, miłości i innych wartości cywilizacyjnych. Ująć życie jako coś mechanicznego, co sobie wystarcza w porządku fizycznym i materjalnym, jest rzeczą trudną dla pisarza. Autor bowiem w kulturalnem społeczeństwie nie może liczyć na publiczność, któraby ten kąt widzenia podzielała bez zastrzeżeń. Trzeba na to fachowego treningu w życiu cygańskiem pozaspołecznem, jakiemu oddają się literaci w wielkiem mieście. W tym półświatku, złożonym zarówno z kobiet jak i mężczyzn, właściwie burżuazyjnym, życie tak a nie inaczej wygląda. Ale pisząc dla całego świata, trzeba dokonywać jakby przekładu swej anegdoty na skalę pojęć ogólnie w literaturze dawnej przyjętych i jeszcze z życia niewyrugowanych. Dla tego mu tak trudno wybrnąć z dwuznaczności i stworzyć sztukę w jednym stylu, z jednego kawałka, jak dawniej tworzyli Fredro, Bliziński, Karczewski (Lena), Bałucki.

Autor i widz — to była para oczu zakomodowanych. Widzieli jedno. Bliziński i Bałucki, z różnych punktów patrzący na życie (wieś i miasto), wiedzieli tego samego człowieka. Cywilizacja miała jeden wzrok, bo sztuka szła z dużego świata. Życie w półświatku radykalnie zmieniło widnokrąg. To, co było dramatem, wydaje się komiczne. Dla tego tak trudno tutaj pisać dla świata. Trzeba istotnie mieć talent, żeby pomimo wszystko pretendować do spadku po dawnych mistrzach komedji.

A jednak pomimo popularności, jaką prasa wytworzyła szkole dramaturgów warszawskich, publiczność nie czuła się samowicie, miała wrażenie, że jest w równej odległości od komizmu, jak i od dramatu sztuki Tak samo rozdwajali się artyści, grający role nieszczere, porozdwajane. Mam na myśli postaci lekarza i jego żony, pomyślane w tinglu, a stylizowane na komedję salonową i wprowadzające przez to w błąd wzrok publiczności. Z postawienia roli Anieli nie wynikało, że to była poprostu tinglówka, a z roli jej męża — że to manekin operetkowy. Pan Stanisławski także ma talent, że z tego coś zrobił.

Zapewne: talent, talent! Jest to duże słowo, ale nic ono nie znaczy, jeśli się nie powie, do czego dany talent w sztuce obowiązuje. Kiedrzyński musi się zdecydować na wybór: świat, czy półświatek. Niech się zdobędzie na ascezę, niech się wydobędzie na świat, gdzie żyje pełny w „plenerze" cywilizacji człowiek, wtedy pozna, jak splata się dramat z komizmem i będzie tworzył z jednej bryły. Wtedy będziemy mówili o sztuce i jego talencie.

*

W tydzień po komedji, o której wyżej, St. Kiedrzyński wystawił w teatrze Narodowym „sztukę romantyczną" — „Romans Florencki". O ile tamten romans polski współczesny był traktowany na wesoło — komicznie, o tyle ten jest całkiem ponury — tragiczny. Żałuję, że sprawozdanie o tamtej wesołej sztuce było już w drukarni, kiedy znalazłem się na premjerze „Romansu", bo można było ocenić oba utwory w zestawieniu.

Powtórzyło się to, co zarzucałem pierwszemu z nich, mianowicie zewnętrzny stosunek bohaterów do zdarzeń. Tutaj znowu trudno było płakać. Zarówno komizm w tamtej, jak tragizm w tej za mało były uzasadnione prawdą wewnętrzną życia. Za dużo umówności teatralnej, że takie fakty a takie są śmieszne z tradycyj scenicznych, a takie znów tragiczne. Za wiele teatru — zamało poezji. Ta bowiem jest od tego, żeby wszystko w sztuce indywidualnie uprawdziwić. Brak poczucia człowieka w wielkiej sztuce koturnowej jeszcze wyraźniej daje się poznać, dusza bowiem twórcy na większe

stalugi się rozpina. W tragedji Kiedrzyńskiego bohaterzy przekłuwają się, jakby z tektury byli, nie broczące krwią. Autor, zajęty mechanizowaniem stosunku między bohaterami (aby szybko ciągle coś się działo), nie wiele dba o stosunek każdego z nich do siebie samego, do pionu człowieczego wogóle. Jego bohaterzy, wzięci samoistnie, nie mieliby o sobie nic do powiedzenia trybem lirycznym. Są czemś przez stosunek swój do innych bierny lub czynny. Pasje ich bywają zawzięte, skoro oni albo rzucają się w objęcia, albo się mordują, ale zawsze bodźce są fizjologicznej natury, które normalnie załatwia się milcząco. To też słowa i tyrady są puste, odczłowieczone.

Szkołę warszawską dramaturgów cechuje amoralność i aspołeczność. W poglądach społecznych hołdują liberalizmowi, w filozoficznych materjalizmowi, w religijnych libertyni, widzą w człowieku jedyną siłę czynną— chęć użycia fizycznego. Człowiek taki, przeniesiony w czasy Odrodzenia do Florencji, za obszerny dostał kostjum w rekwizytach tej epoki. Bohaterzy Kiedrzyńskiego żądni są ciała kobiecego — nic poza tem. Na tle tej namiętności rodzi się satanizm. Kiedrzyński kolebkę jego znalazł w klasztorze. Jego mnich używał już w celi, jako zdobywca najpiękniejszej we Florencji kobiety, a potem siał mord zdobywczy przy pomocy zatrutych różańców i szkaplerzy.

Anielska Simona bez żadnej konieczności dramatycznej pada ofiarą takiego szkaplerza w chwili żarliwej modlitwy. Wtedy kochanek wpija się w usta zmarłej pod pretekstem, że chce się otruć, a wstawszy powiada: „Za dużo było w szkaplerzu trucizny na jedną osobę, za mało na dwie". I ocalał, choć był zabójcą przyjaciela. Gdyby naprawdę chciał umrzeć, to miał zatruty szkaplerz w ręku. Oto próba pustki duchowej w obszernych dekoracjach Odrodzenia, o których podręczniki zwykle się wyrażają, że życie duchowe bujnie z niego „tryskało".

Schemat podobny w obu sztukach Kiedrzyńskiego. Clarissa warszawska miała też starego męża, ale była łagodniejsza i chciała powrotu do dawnego grzechu. Clarissa florencka jest złowroga, pragnie grzechu nowego i dla tego ludzi morduje; tylko znowu mnich morduje ludzi, żeby wrócić do grzechu.

Nic nie pomogło nastawienie na stalugi poetyckoromantyczne. Treść słów minęła niezauważona. Słowa bowiem są od wyrażania ducha, a tego nie było. Patrzyliśmy tylko na kinemo-bieżny ruch ciał, żądnych posiadania lub mordu.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

Poleski Hieronim. Rosja wczoraj, dziś i jutro. Lwów 1927. Bibljoteka Religijna. Str. 380.

Smogorzewski Kaz. Les jeu Complexe des partis en Pologne. Extrait du „Correspondant". Paris 1928. Gebethner i Wolff (Bd St. Germain, 123.) Str. 39.

Sztuka polska wśród obcych. Spraw. z działalności Tow. szerzenia sztuki pol. za r. 1827-28. Z 19 rycinami. Warsz. 1928. Str. 52.

Prawdzic Paweł. Protestantyzm na Śląsku Cieszyńskim w świetle prawdy. Cieszyn 1928. Nakł. własnym. Str. 248.

Birkenmajer Józef. Łzy Chrystusowe (Z ilustr.). Poznań (1928). Spółka Pedagogiczna.

Wołoszynowski Juljan. Potęga snu. Warsz. 1928. J. Mortkowicz.

Sprawa żydowska. (Warsz. 1928). Wyd. Związku Lud. Nar. (Jerozolim. 17).

Gąsiorowski Wacław. Szwoleżerowie gwardji. Powieść hist. Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej.

Świderska Janina. Książe Machiavellego i machiavellizm. Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej. Str. 72.

Tomczak Roman. O naprawę szkolnictwa w Polsce. Uwagi o projekcie rządowym ustawy o ustroju szkol. Warsz. 1928. Bibl. Przełomu nr. 4. Str. 64.

Zbiory Polskiego Muzeum Narodowego w Rapperswilu. Katalog wystawy u Baryczków. Warsz. 1928. Nakładem Tow. opieki nad zabytkami. Str. 104.

Reb. Mocarstwo podziemne. Wyd. V, ilustr. Warsz. 1927. Str. 64.

Księg. Kroniki Rodzinnej wydała:

Klimowiczowa K. Siostra Ludu polskiego i służebnica Jezusa (święt. Wanda Malczewska)

Pogadanki apolog. nr. 7. (Duplessy: Spowiedź).

Wołowska Zofja. Chrystus — król narodów.

W Bibljotece Powszechnej Zukerkandla w Złoczowie (nr. 1109 do 1124) wyszły: A. Bruecknera Życiorysy i charakterystyki literackie (Słowacki, Mickiewicz, Krasiński). Kraszewskiego Podróż do miasteczka, Słowackiego Fantazy, Al. Morgenbessera Myślący burmistrz, Palestra i Obrona Sokołowa.

W Bibl. dla dzieci i młodzieży Zukerkandla w Złoczowie wyszły (nr. 50—52) trzy tomiki: Wiersze na obchody Lazarasówny i Obrazki sceniczne tejże.

Wojciechowski Konstanty. Przewrót w umysłowości i literaturze polskiej po r. 1863. Lwów 1928. Książnica-Atlas Str. 294.

Skrudlik Mieczysław. Zbrodnie marjawitów w świetle dokumentów. Cz. I. Warsz. 1927. E. Zarębski (Żórawia 11). Str. 125. Cena zł. 1.20

Sokołowski Marjan. Ochrona przyrody w szkole. Kraków 1927. Wyd. Państw. Rady Ochrony przyrody, nr. 11. Str. 111.

Ruch Literacki, styczeń.

Lud Lwów, Tom V (1926)

Język Polski. Kraków. Grudzień 1927.

Muzyka, styczeń.

Ateneum Kapłańskie. Włocławek, styczeń.

Przegląd Powszechny. Kraków, luty.

Przegląd Współczesny. Kraków, luty

NA MARGINESIE

Jakże to mogło brzmieć? Najprawdopodobniej coś mnie więcej w tym rodzaju:

„Zgodnie myt der wezwanie dus rabiners ale Jiden myssen oddacz zajne głosy auf dy lyste der Bezpartyjny Błok Nr. 1. A gite kandydat der oszwecone fyrst Eustachy Sapieha. A fajne kiepełe der berymte profesor Kochanowski w spółkie i pod rękies myt unserem jidyszen deputaten Eljasz Kirszbraun! Fort myt der paskudne „endeki"! Wiwajt dy beste lyste Nr. 1! Wiwajt dy sanacje!"

(W dziennikach pojawiła się następna depesza: Białystok 4.2. (A.W.) Z Grodna donoszą, że zostały tam rozklejone na ulicach odezwy Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem Nr. 1 w języku żydowskim).

*

Na ulicach Warszawy pojawiły się afisze agitacyjne Bepartyjnego Bloku Współpracy z Rządem z następującem hasłem wyborczem: „Polska — to nie ta czy inna partja. Polska — to wszyscy obywatele w niej żyjący".

W Polsce (no i z Polski) żyje także kilka miljonów Żydów... Czy i oni także są... „Polską"?...

*

Prof. Zygmunt Łempicki ogłosił w „Wiadomościach Liter." polemiczny artykuł p. t. „Sarmatyzm w badaniach literatury", w którym z irytacją karci Z. Szweykowskiego za jego studium o „Lalce" Prusa. Oczywiście praca krytyka podlega też krytyce i prof. Ł. ma zupełne prawo wypowiedzieć swój sąd choćby surowy. Ale w rzeczonym artykule oprócz namiętnego tonu razi złośliwość przezwiska, nadanego robocie — „sarmatyzm". Jest to nietakt tem większy, że popełniony przez germanistę, patrzącego na naszą literaturę niemieckiemi oczami, i do tego w piśmie semi-polskiem, które wogóle teroryzuje pisarzy, nie pokazującym się na jego łamach. Literatura naukowa niemiecka być może jest bez konkurencji, prace niemieckie prof. Łempickiego pewno są znakomite, ale nie wypada w rzadkich chwilach łaskawego zainteresowania się literaturą polską tak zjadliwie jej traktować. Sarmaci, mający swoją oryginalną literaturę, dojdą po trochu do swoich metod w krytyce; nie trzeba ich „peszyć", ile że schematy zapożyczane od Niemców przy badaniu twórczości polskiej nie dają zbyt pokaźnych rezultatów (weźmy pracę Balka o Wyspiańskim). Zamiast łżenia od „sarmatyzmu" byłoby skuteczniej dać samemu wzór i wyświetlić w sposób nowoczesny choćby jednego polskiego pisarza.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM